

Rok I

Łódź — 1.VIII 1945

Nr. 3

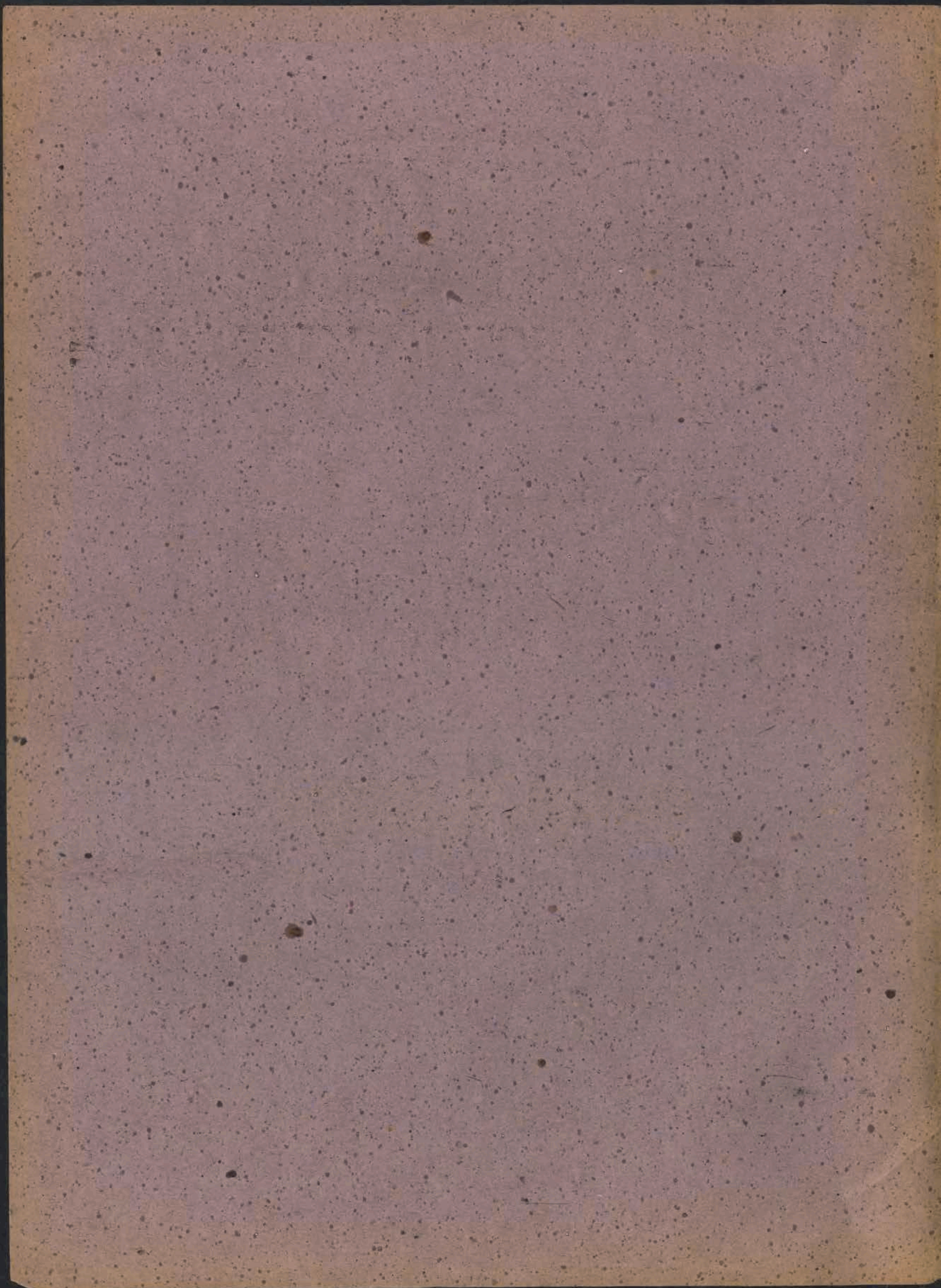
KUŹNICA

PISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

TREŚĆ NUMERU

Jan Kott — Przed końcem świata ■ Włodzimierz Michajłow — Przed reformą szkolnictwa polskiego ■ Stanisław Ehrlich — W sprawie reformy studiów prawniczych ■ Ignacy Fik — Stolica ■ Zbigniew Mitzner — San Domingo ■ Tadeusz Hołuj — Wiem, zdechnąć mogę ■ Adolf Rudnicki — Koń ■ Maria Szczepańska — Śmierć poetki ■ Zbigniew Bienkowski — Bezwzględni ■ Tadeusz Breza — Mury Jerycha ■ Juliusz Żuławski — Polityka w obozie jeńców wojennych ■ p. h. Przegląd prasy ■ Ryszard Matuszewski — Kronika krakowska ■ Literatura zagranicą ■ Odbudowa Warszawy ■ Oświata i Kultura

CENA 7 ZŁ



KUŹNICA

PISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

JAN KOTT

PRZED KOŃCEM ŚWIATA

Biada pokoleniu, które Tacyta zupełnie zrozumie.
Lehrs.

„Cóż mówić, kiedy w ciągu piętnastu lat — wielki to okres życia ludzkiego — wielu nieprzewidziane wypadki, a co najcięższych srogość cesarzy sprzątnęła? Niewiele z nas ocalało, i — żeby się tak wyrazić — przeżyło nie tylko innych, lecz nawet samych siebie, ponieważ ze środka naszego życia wykreślono tyle lat, w ciągu których młodzi doszliśmy w milczeniu do starości, a starcy prawie do samego kresu upłynionego życia... Dałszy zaiste wielki dowód cierpliwości, a jak dawnie pokolenie widziało skrajną wolność, tak my widzieliśmy skrajną niewolę, kiedy szpiegowaniem odebrano nam nawet wymianę słów i myśli. Samą też pamięć wraz z głosem bylibyśmy utracili, gdyby tak samo w naszej mocy było zapomnieć jak milczeć...”*) Tak pisał Tacyt pod koniec pierwszego wieku po Chrystusie, we wstępie do *Żywota Agrykoli*, kiedy po okrutnym piętnastoletnim rządów Domicjana nadszedł na chwilę rzadki czas, „w którym wolno myśleć co chcesz, a co się myśli wypowiedzieć”.

Różnorodna jest współczesność pisarzy i dzieł sztuki. Kiedy patrzymy na pościg faunów za nimfami na wazach z późnego okresu sztuki greckiej, odnajdujemy wieczność i niezmienną miłosnego gestu. Kiedy czytamy w *Iliadzie* scenę pożegnania Hektora z Andromachą, herosowie antycznej epopei stają się nam nagle po człowieczemu bliscy. Oto łamie się koturn tragiczny i płacze bohater już nie nad losem ojczyzny i miasta, ale nad dzieckiem własnym i żoną. Tożsamość gestów i uczuć, o której świadczą rzeźby i książki, a która by służyć mogła za naczelną argument wiary w uniwersalia i niezmienną natury ludzkiej, nie rozstrzyga jeszcze o współczesności pisarzy. „Współczesność bowiem — jak pisał Norwid — jest dwojaka. Kiedy w Warszawie 1836 roku nocą budzeni bywalimy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysyłanym na Sybir,łowacki wtedy z drugiego końca Europy *Anhellego* ojczyźnie przysłał; — to jest pierwsza współczesność. Tej samej zaś zimy w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, że rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje. Oto druga współczes-

ność.łowacki miał tę pierwszą, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notariuszem”.

Jeżeli dziś wracamy do Tacyta, to nie poto, aby syć się antykwarską pasją ciekawości, lub choćby nawet tropić niezmienną przez dwa tysiące lat poruszenia bestii ludzkiej. O aktualności kronikarzy, jeżeli w ogóle o niej można mówić, rozstrzyga zewnętrzne podobieństwo wydarzeń. Odczuwamy wtedy przyjemność podobną odszukiwaniu na sławnych portretach rysów twarzy znajomych nam osób i powtarzając, że wszystko już było, pocieszamy się nagłym potwierdzeniem lekomyślną wiary w trwałość i niezmienną światła. O prawdziwej współczesności historyka decyduje nie przypadkowa zbieżność dekoracji, ale wewnętrzne podobieństwo dramatu dziejowego, o współczesności pisarza mówią nie cienie ukazanych zdarzeń, ale to, co zdołał w nich dojrzeć, co miał odwagę powiedzieć. Tacyt był historykiem i pisarzem.

Sześć ksiąg, które ocalało z *Historii*, obejmuje niepełne dwulecie. *Roczniki*, które do nas doszły, mówią o latach czterdziestu. I oto wystarczyły dzieje niecałego półwiecza, aby został Tacyt największym z historyków Rzymu, którego dzieł papież Leon X szukać kazał po wszystkich klasztorach chrześcijańskich, ekskomunikując grożąc za każdą próbę fałszerstwa i odpust zupełny obiecując za odszukanie nowych fragmentów.

Urodził się Tacyt za Nerona, umarł za Hadriana. Żył w czasach, kiedy cesaryzm stał się nieodwołalną formą rządów, nie mógł już nawet rozmawiać z ludźmi, którzy by pamiętali nie tylko dawną Rzeczpospolitą, ale choćby wojnę domową Cezara z Pompejuszem. Dożył Tacyt okresu największej potęgi Rzymu, którego kolonią stała się Brytania, granicami Atlantyk, Ocean Indyjski i Morze Czarne. Minęły całe trzy wieki zanim Alaryk — pierwszy z barbarzyńców — na czele Gotów wkroczył do Rzymu i blisko cztery, zanim na ruinach imperium powstało germańskie państwo Odoakra. I oto nie świadkowie największej z katastrof cywilizacji, ale właśnie Tacyt był tym pisarzem, który zdawał sobie sprawę z zagłady grożącej światu, do którego należał.

Zadziwiająca i niespodziewana jest czasem wymowa chronologii. Kiedy Tacyt kończył dzieje obłąkanych cesarzy, św. Jan na wyspie Pathmos wieścił czterech jeźdźców Apokalipsy, którzy ruszą nieść zniszczenie no-

*) Cytuję Tacyta — według pięknego przekładu prof. Seweryna Hammera, który ukazał się parę miesięcy przed wojną, nakładem kasy im. Mianowskiego.

wemu Babilonowi i Niniwie. *Roczniki i Apokalipsa*, dwa największe eschatologiczne dzieła starożytności, powstały w tym samym czasie.*)

Groźną jest lektura Tacyta i biada epoce, dla której Tacyt znowu staje się pisarzem współczesnym. Dwójka jest bowiem jego współczesność. Dał wyraz czasom pogardy i spodlenia, w których przeglądać się mogą i odnajdywać następne epoki, zbyt już wewnętrznie porażone, aby same sobie mogły wystawić świadectwo. Ukazał, jak imperializm, niewola polityczna i rozkład klasy panującej wiodą wprost do upadku najpotężniejszego z państw i najświetniejszej z kultur. Nie kronikarz to, nawet nie tylko historyk, ale prorok końca świata, prorok, mimo że pisał tylko o tym, co było. Pisał jak polityk i psycholog. Wewnętrzny katastrofizm jego postawy duchowej trzeba dopiero umieć odczytać w gwałtownych spadkach zdań, w załamany raptownie rytmie, w natioku określeń, którym brak czasu, aby rozrosły się w harmonijne frazy, w niespodziewanych wreszcie przemilczeniach i nagłych, jak chłasięcie mieczem, zamknięciach w abstrakcyjne formuły.

Aby zdać sobie sprawę z głębokiej przemiany z jakiejś jakby wewnętrznej rysy, która nastąpiła u podstaw kultury w ciągu półtora wieku rządów absolutnych, wystarczy może porównać z Tacytem Cezara i Liwiusza. W *Pamiętnikach* Cezara uderza nade wszystko absolutny brak jakichkolwiek wątpliwości. Wszystko jest zrozumiałe, jasne i proste jak gościńce rzymskie. Dla tego wiecznego prototypu wszystkich arystokratów nie istnieje nic — poza praktyką i konkretem. Krótkie są zdania, dokładne i jasne jak sama sprawa — podążył Cezar, rozbił obóz, wydał bitwę, zwyciężył, potem znowu podążył. Słowem najczęstszym u Cezara — pisze Morawski — jest *celer i celeritas*, szybki i szybkość. Z tą samą logiką, z jaką ustawiał w szyku kohorty, budował i szyk zdań. Zaginiony traktat Cezara o czystości języka i prostocie stylu nie przypominał jednak regulaminu musztry wojskowej — wielki realista i empiryk bronił przed systema tykami wyjątków językowych. Traktat ten napisał Cezar w czasie przeprawy przez Alpy, aby nie tracić czasu i odwrócić uwagę od widoku gór, które dla tego doskonałego pragmatysty były jedną z najbardziej wstrętnych rzeczy, jakie człowiek może oglądać.

Po nim przyszedł urzędowy historiograf, chciało by się powiedzieć wieczny akademik — Liwiusz. Ten nie śpieszył się nigdy. Żadna siła na niebie i ziemi nie zdołałaby go zmusić, aby zmącił płynność klasycznego periodu, złamał nieubłaganą symetrię zdań, wyrzekł się kłórejś z retorycznych ozdób lub skrócił mowy wodzów przed bitwą. Jego także nie dręczyły żadne wątpliwości, nie chodziło mu nawet o prawdę. Pisał przecież dla pokrzepienia serc, zapatrzony w złotą legendę orłów legionowych. Nie zauważył upadku Rzeczypospolitej.

Dożył przecież Liwiusz czasów, kiedy po śmierci Augusta — „w Rzymie śpieszno było do służalstwa konsu-
lom, senatorom, szlachcie. Im kto był znaczniejszy, tym większą obłudę i gorliwość okazywał, a przybierając taką minę, żeby się w niej ani radość ze śmierci jednego księcia, ani zbyt ni smutek z następstwa drugiego nie przebijają, mieszały lzy z objawami uciechy, narzekania z dowodami pochlebstwa”. Tak pierwszy pisał Tacyt. Do innego niż Cezar i Liwiusz należał świat.

Rozpoczynają się *Roczniki* od śmierci Augusta, wypełnia je, jak cztery akty krwawej tragedii, panowanie Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza, Nerona. Znamy, niestety, wszystkich tych władców i z trudnością tylko

przychodzi nam się wstrzymać od wpisywania pod portretami Tacyta imion współczesnych. I nie o zewnętrzne podobieństwo tu chodzi, ale o samą istotę tyranii, której wszelkie postacie i odcienie potrafił Tacyt dojrzeć i ukazać.

Myśmy wszyscy znali Tyberiusza, który bronił granic państwa, nienawdził Rzymian i gardził senatem. Żądał władzy absolutnej, a niedierpiał wszelkich jej oznak i tytułów, siłą wymuszał posłuch a chciał, aby słuchano go z miłości, nie ze strachu. „Nie przyjął ofiarowanej mu wielokrotnie — pisze Tacyt — nazwy „ojca ojczyzny” i cierpką dał odpawę tym, którzy jego postępowanie — „boskim”, a jego — „panem” nazywali. Stąd pochodziła ograniczoność i śliskość wystawiania się za czasów tego księcia, który bał się wolnomyślności a nienawdził pochlebstwa”. Wprowadził jednak Tyberiusz na nowo prawo o obrazie majestatu, o którym napisze kiedyś Monteskiusz, że „wystarczy, aby zbrodnia ta była nie określona, a rząd wyrodił się w despotyzm”. Istniało to prawo i za Rzeczypospolitej, wtedy jednak rozumiano pod tą nazwą zdradę armii lub wchrzenie wśród ludu, „za czyni ścigano, słowa były bezkarne”. Pierwszy August, rozdrażniony przez satyryczne wiersze i pisma, pod pokrywką tego prawa zarządził ściganie za obrazę jego osoby. I oto mnożyć się znowu zaczęły za Tyberiusza procesy o zbrodni stanu; usuwano tym sposobem tych wszystkich, których niezależności poglądów Tyberiusz ścierpieć nie mógł.

I dziwił się potem cesarz, że po zdławieniu wolności przekonani i swobody, została mu tylko czereda służalców i karierowiczów. „Owa epoka — czytamy w *Rocznikach* — była tak zatruta i pochlebstwem skażona, że nie tylko pierwsi w państwie mężowie, którzy zmuszeni byli blask swój uległością osłaniać, lecz wszyscy byli konsulowie, większa część byłych pretorów, a nawet wielu zwykłych senatorów na wyścigi powstawało i głosowało za wnioskami wstrętnymi i przesadnymi. Opo-
wiadają, że Tyberiusz, ilekroć wychodził z kurii, miał zwyczaj po grecku w ten sposób się wyrażać — „O ludzie, gotowi do służalstwa”. Widocznie nawet on, który nie życzył sobie wolności ludu, odczuwał wstręt przed tak podłą cierpliwością służalców.

Opuścił wreszcie Tyberiusz Rzym, zamieszkał z paroma zausznikami spośród wojskowych na Capri i stamtąd słał do senatu listy na przemian pełne ironii, drwin lub pogrozek. — „Co mam do was pisać, zgromadzeni ojcowie, albo w jaki sposób pisać, albo czego w ogóle w tej chwili nie pisać. Jeśli wiem, niech mnie bogowie i boginie okrutniej zatrącają, niż sam to czuję, że codzień ginę”.

Czyż nie byliśmy świadkami owego nikczemnego wyścigu służalców, którzy, kiedy władca wyjechał na wyspę, zebrali jak o najwyższą łaskę o widzenie któregoś z jego doradców i prześcigali się wzajemnie w coraz nowych i bardziej absurdalnych wymysłach pochlebstwa. „Senat nie troszczył się o to — pisze Tacyt — czy państwo na swych kłesach hańbą się okryło; wewnątrz tegoż umysły ogarnęła trwoga, na którą lekarstwa w pochlebstwie szukano. Chociaż więc o całkiem innych obradowano sprawach, stawiali senatorowie wnioski na wzniesienie ołtarza łaskawości, ołtarza przyjaźni, z posągami cesarza i jego namiestnika po obu stronach. Wśród częstych też prób domagali się, aby siebie oglądać dali sposobność. Oni jednak nie wstępowali do stolicy, albo w jej pobliżu i dość im się wydawało wyspę Capri opuścić i w najbliższej okolicy Kampanii dać się widzieć. Tam udawali się senatorowie, ry-

* K. Morawski. Rzym. Portrety i szkice (Kraków 1921).

cerstwo i większa część ludu, drząc wobec prefekta pretorianów, do którego trudniejszy był dostęp, i dlatego przez wstawianictwo i wzajemne umowy starano się go uzyskać. I wracali do stolicy pełni niepokoju ci, których on ani słowem, ani widokiem nie zaszczylił...".

Zaginęły niestety *Roczniki*, mieszczące żywot Kaliguli, następcy Tyberiusza. Pisze o nim tylko Swetoniusz, historyk żaden, wierny za to archiwista i szperacz — zapamiętał. Pośród błahych anegdot i nic nie znaczących faktów i u niego odnajdziemy wieczną mechanikę tyranii. Kto z naszego pokolenia nie słyszał, przypominającego rzenie, śmiechu Kaliguli, którym wybuchnął w czasie wspaniałego bankietu. Kiedy siedzący przy wspólnym stole konsulowie spytali go grzecznie o przyczynę wesołości, odpowiedział — „Przyszło mi na myśl, że wystarczy jeden mój gest, aby was na tym miejscu uduszono”.

Niejeden Kaligula konia swego wprowadził do senatu, pensję wyznaczył mu i orszak, rozkazując władzę najwyższą sprawować. Poprzez stulecia i do nas doszedł pogardy pełen śmiech władcy, który uważał, że byle głupiec wystarczy by rządzić i podobnie jak Karol XII, o czym opowiada Monteskiusz, „doznawszy niejakiego oporu w szwedzkim senacie, napisał, iż pośle im swój but, aby rozkazywał. Ten but — dodaje pisarz XVIII wieku — rozkazywałby jak król despota”.

I wreszcie portret ostatni — Domicjan. Z każdym nowym cezarem spadają kolejno maski tyranii. Domicjan Tacyta — to niczym już nie okryte oblicze nagiego okrucieństwa; władca, który mierzy swą wielkość miarą powszechnego zniszczenia. „Już nie w przerwach i odstępach czasu, lecz bez ustanku i jakby od jednego zamachu państwo wytrzebił... Neron przecież odwracał oczy i wprawdzie nakazywał zbrodnie, lecz na nie nie patrzył: tymczasem głównym udziałem niewoli za Domicjana było go widzieć i być przez niego widzianym...”.

W tym wielkim dziele o końcu świata, jakim są *Roczniki* Tacyta, psychologia cesarza ustępuje może jeszcze głębi socjologii tyranii. Poznaliśmy pierwszego aktora wielkiego dramatu władzy. Trzej inni, ci którzy siłę lub tylko jej cienie posiadają, to senat, gwardia pretoriańska i armia.

Aktorzy dramatu... Niedarmo nazywano Tacyta najwęższym tragikiem Rzymu. Nie chodzi nam tu o ową zewnętrzną teatralność czy dramatyczność opisu, której niejednokrotnie ulegał Tacyt, zgodnie z tradycją epoki, uznającej historię za „najwyższe dzieło sztuki”. I nieważną jest sprawa nagłych spięć, zahamowań i przyspieszeń akcji, owych wszystkich tajemnic sztuki, w których pisarz zwyciężał historyka. Nie o styl tu chodzi. I nawet nie o ostateczną interpretację faktów, o zawieszony nad horyzontem ludzkich czynów nieprzeniknione działanie fatum czy „woli bogów, którzy nie troszczą się o nasze bezpieczeństwo, lecz o naszą karę”.

Istotna tragiczność Tacyta, dzięki której parę stron czy nawet wierszy z jego *Roczników* starczyło, aby stworzyć szkielec tragedii dla Corneille'a czy Racine'a sięga głębszych warstw jego dzieła. Pierwszą cechą tragizmu jest nieodwołalność. Tragizm zaczyna się, kiedy fakty jak z rdzy oczyszczone zostaną z tego, co każda konkretność zawiera w sobie z przypadku i dowolności. Stąd antyczna tragedia, tak samo jak siedemnastowieczna, wyrastała z wiedzy o człowieku, którą miało odwagę uznać za trwałą, była dramatem nie postaci ale zasad moralnych; spór wiodły ze sobą: miłość i obowiązek, honor i posłuszeństwo władcy, wierność i nienawiść. W tragedii władzy, jaką są dzieje Ta-

cyta, spór toczy się także o zasady. Kiedy pisząc o paleniu ksiąg nieprawomyślnych filozofów, wykrzyknie Tacyt — „snać sądzono, że tym ogniem wytepi się głos narodu rzymskiego, wolność senatu i świadomość rodzaju ludzkiego”, wszystkie te trzy pojęcia mają dla niego ściśle ustaloną, trwałą i niezmienną treść.

I tylko pozornym paradoksem jest twierdzenie, że historia była dla Tacyta nauką o tym, co niezienne. Wielcy aktorzy tyranii — cesarz, a po nim senat, pretorianie i armia są dla niego wieczni. Wychowany na logicznej i abstrakcyjnej teorii Arystotelesa o sześciu możliwych ustrojach państwa, wierzyć się zdaje Tacyt, że mechanika władzy, owe *arcana imperii*, o których pisze, równie są niezienne jak zasady wiązania zdań w sylogizmy. Wtedy nawet, kiedy pisarz w nim zwycięża i narrator, kiedy każe nam brać udział w posiedzeniach senatu, notuje gesty i pobladłe ze strachu twarze, kiedy przystaje na forum, aby wysłuchać krzyków i aklamacji tłumów, czujemy, że dać chce tylko jeszcze jeden przykład, nim wypowie abstrakcyjną formułę: „panowanie ludu graniczy o międzę z wolnością, naczelną władza kilku bliższą jest samowoli królewskiej”. Stąd zamknięte w *Rocznikach* dzieje półwiecza, jak *II Principe* Makiiawela, są wieczną książką o tyranii.

Znał Tacyt ciężar narzuconego milczenia, znał ciszę miast, które liczą swoje ofiary, groźną ciszę, o której mówi Monteskiusz — Tak jak zasadą rządu despotycznego jest lęk, tak celem jego spokój, ale to nie jest pokój, to cisza owych miast, w których mury już wkrocza nieprzyjaciel.” Znał Tacyt sztukę przemilczeń i wymowę milczenia. Pisze oto w *Rocznikach* o pogrzebie, Junii, siostry Brutusa i żony Kasjusza, zabójców Cezara: „Poprzedzały go dwudziestu najślawniejszych rodzin maski pośmiertne, Manliusze, Kwinkcjusz i inne równie wysokiej szlachty imiona. Lecz ponad wszystkimi błyszczeli Kasjusz i Brutus — właśnie dlatego, że ich wizerunków nie oglądano.”

Socjologia dyktatury Tacyta przypomina kliniczny opis choroby w podręczniku lekarskim. Jest coś głęboko przerażającego w tym odnajdywaniu się naszych czasów w Tacycie. Bo już nie tylko stały się nam znajome i bliskie oblicza cesarów, ale także niewola, rozkład społeczny i spodlenie.

Już nie tylko wygnaniem lub śmiercią karano za satyryczne wiersze lub ustawienie posągu cesarów niżej posągu pana domu, ale historię otoczono specjalną opieką, kadzić nakazano nawet zmarłym władcom, a o zabójcach ich zakazano pisać prawdy. Oskarżono wtedy historyka Kodrusa „o nowe i wtedy po raz pierwszy słyszane przestępstwo, że w ogłoszonych przez siebie rocznikach pochwalił Marka Brutusa, a Gajusza Kasjusza nazwał ostatnim Rzymianinem”. Próżno, zawleczony przez czeredę oficerów do kurii, bronił się stały historyk, że od śmierci Cezara minęło już lat siedemdziesiąt. Z nasrożoną miną cesarz słuchał jego obrony. Opuścił wtedy Kodrus senat i na znak pogardy zamorzył się głodem. Uchwalił oczywiście senat, aby księgi jego zostały spalone publicznie przez edylów, „lecz zachowały się — pisze Tacyt, bo je ukrywano, a potem wydano.” I dodaje — „tym większa zbiera mię ochota śmiać się z głupoty tych, którzy sądzą, że dzięki obecnej swej władzy potrafią stłumić także następnych wieków pamięć. Albowiem przeciwnie się dzieje: gnębiomym duchom przybywa powagi, a postrojni królowie, albo ci, którzy stosowali tę samą co oni srogość, nic przez to innego jak tylko sobie hańby a owym sławy przysporzyli.”

W tym samym czasie mierny poeta Priskus tren żalobny ułożył na śmierć cesarowego syna, Germanika. Utwór wzbudził powszechny podziw i cesarz z własnej szkatuły wypłacił autorowi sto sestercji. Minęło parę miesięcy i drugi syn cesarza — Druzus poważnie zaniemógł. Nie czekał poeta na dalsze wiadomości, zasiadł do dzieła i jeszcze wspanialszą niż przedtem elegię napisał. Druzus tymczasem wyzdrowiał. Żal było poecie pieniędzy, na które liczył, żal jeszcze więcej utworu, którego nie mógł ogłosić. Sprosił tedy przyjaciół i znajomych i w tajemnicy dzieło swoje odczytał. Nie wyszła mu jednak próżność na dobre. Znalazł się wśród gości donosiciel i o obrazę majestatu wytoczono Priskusowi sprawę w senacie. Potem, jeszcze tej samej nocy uduszono go w więzieniu.

Donosicielom przyznano wtedy po raz pierwszy nagrody pieniężne i nie minęło lat dziesięć a zawód ten stał się powszechny. „Było to największym nieszczęściem owej epoki — czytamy — że pierwsi w senacie najpodlejsze nawet donosicielstwa uprawiali, jedni skrycie, wielu otwarcie, i nie można już było odróżnić obcych od krewnych, przyjaciół od nieznajomych. Zarówno na forum jak przy uczcie, na jakikolwiek temat prowadzone rozmowy stawały się przedmiotem skargi, w miarę jak komu pilno było uprzedzić drugiego i upatrzeć w nim winowajcę; jedni czytali to, aby samych siebie chronić, a większość — ponieważ ich jakby zaraźliwa choroba ogarnęła.”

Senat, który drżał przed cezarem, płaszczył się i donosił, był jednak jedynym źródłem władzy w ustroju, który podobnie jak niektóre dyktatury, w okresie międzywojennym, zatrzymał dekoracje legalności. O wyborze cesarza decydowała siła fizyczna — gwardia pretorianów, ale tylko jeden senat wybór ten mógł uczynić legalnym, przyznając elektowi tytuł Augusta oraz *potestas* i *imperium*, połączoną władzę trybuna ludowego i konsula, umożliwiającą faktyczne jedynowładztwo.

Obok zatwierdzania cesarów, wymuszanego przez gwardię, miał senat jeszcze inną, potężniejszą władzę: on jeden decydował o... pozagrobowym życiu władcy, o zaliczeniu go w poczet bogów. Na wschodzie deifikacja panującego była od dawna przyjęta. Czyż mógł nie zostać bogiem ten, który bogów zwyciężał? Kiedy Filip toczył walki z Persami pisał do niego Isokrates: „Kiedy zmusisz barbarzyńców służyć Grekom... i sprawisz to, że król teraz wielkim nazywany spełniać będzie twoje rozkazy, nie pozostanie ci nic innego jak tylko zostać bogiem...”*) Tak się też stało. Z władców greckich został bogiem pierwszy Aleksander, syn Filipa. Jakie opory w kulturze hellenistycznej wzbudzało ubóstwienie władcy, widać choćby z przytoczonej przez Plutarcha formuły, jaką uchwaliła wyrocznia w Sparcie, kiedy Aleksander zwrócił się do niej o najwyższą konsekrację. „Skoro Aleksander chce być bogiem — odpowiedziała wyrocznia — niechaj będzie bogiem.” I tak Aleksander został bogiem na własne żądanie.

Wschodnie prowincje imperium oddawały początkowo hołd bóstwu opiekuńczemu Rzymu. Potem August zdołał wytłumaczyć senatowi, że w interesie państwa jego rzeczą konieczną, aby na wschodzie czczono jego osobę jako boga. Kult ten stopniowo przenosił się na zachód. Po śmierci zaliczony został August w poczet bogów uchwałą senatu. Następni ce-

zarowie coraz częściej kazali się ubóstwiać za życia. Domicjan żądał, by go tytułowano *Dominus ac Deus noster* — nasz Pan, nasz Bóg.

I oto po śmierci tyrańca, w rękach łonego dotąd bezkarnie senatu, spoczywał jego wieczny los. Mógł go senat ubóstwić, lecz mógł także uchwałą o *damnatio memoriae* zaliczyć w poczet cesarzy przeklętych. „Sądzę, — brzmiał wniosek senatu po śmierci Kommoda — że to co, człowiek, który żył tylko na zgubę obywatelom i na hańbę sobie, wymusił na nas celem uczczenia siebie, winno być unieważnione, posąg jego wszędzie ustawione należy obalić, imię jego z wszystkich pomników prywatnych i publicznych usunąć, miesiąc zaś znowu nazywać tak jak się nazywały zanim ta zmora opanowała naszą Rzeczpospolitą.”**)

Był to labędzi śpiew senatu. Militarystyka imperium następowała stopniowo ale nieuchronnie. Upadek senatu odpowiadał posuwającemu się szybko rozkładowi arystokracji rodowej, wiernej tradycjom republikańskim. Coraz większego znaczenia nabierała warstwa rycerzy rzymskich albo szlachty, monopolizująca w swoim ręku handel imperialny i obieg pieniądza. Obok niej zyskiwał na sile „rzecz stan” kupców, drobnych fabrykantów i rzemieślników. Rekrutował się on w znacznej części ze zrujnowanych chłopów, którzy zmuszeni wyzbyć się ziemi na skutek konkurencji taniego zboża z Egiptu, udawali się masowo do kolonii i prowincji. Zajmując się handlem i spekulacją, dorabiali się niejednokrotnie znacznych pieniędzy, lub nagle tracili wszystko, powiększając szeregi plebsu. Obok nich napływała do Italii armia wiecznych komiwojażerów, złożona z Greków i mieszkańców wschodu, trudniąca się kupnem, sprzedażą i wymianą nie tylko olejków i drogich tkanin, ale nowych doktryn filozoficznych, nowych bóstw i nowych religii. Ze wzbogaconych wyzwolenców tworzy się powoli warstwa zawodowej inteligencji, która szuka komu sprzedać swoje usługi i coraz silniej przenika w administrację imperium. Wszystkie te grupy stawały na cenzurę i politykę imperialną.

Niezależnie od przemian społecznych o ostatecznym upadku senatu rozstrzygnąć musiało przesunięcie granic świata rzymskiego poza Italię i Alpy. Podwójny arystokracizm stanowy i rasowy był nie do utrzymania w imperium. Dla bogatego mieszczaństwa kolonii i prowincji bliższe były stale rezydujące legiony i biurokracja cesarska, z którą kontakt był codzienny, niż starorzzymskie rody senackie. Nie senatowi, lecz cesarowi coraz nowe obszary zawdzięczały przyznanie praw obywatelstwa rzymskiego. Wespazjan tysiąc nowych prowincjalnych rodzin podniósł do stanu senatorskiego i rycerstwa. Prowincje sławiły także na cenzurę.

O wyborze i potędze cesarów decydowała siła zbrojna: gwardia, czyli specjalnie dobrane oddziały ochronne i armia. Oto — dwaj ostatni aktorzy dramatu władzy, spisane przez Tacytę. „Leży już w sposobie ludzkiego myślenia, aby wyżej cenić odwagę niż bojaźliwość, czynność niż rozważę, siłę niż rady. Wojsko zawsze będzie gardziło senatem, a szanowało swoich oficerów. Nie będzie dbało o rozkazy, przesłane przez gromadę ludzi, których będzie uważało za tchórzów i tym samym niegodnych mu rozkazywać. Tak więc skoro tylko wojsko będzie zależało wyłącznie od ciała prawodawczego, rząd stanie się wojskowy.” Tak stylem i w duchu Tacyty pisał po siedemnastu wiekach Monteskiusz.

Trzykrotnie triumfowała gwardia, narzucając kolejno struchlałym senatorom: Kaligulę, Klaudiusza, Nerona.

*) L. Piotrowicz. Kult panującego w starożytności.

**) T. Zieliński. Cesarstwo Rzymskie (Warszawa 1938).

Zbliżał się czas, w którym po raz pierwszy miała przemówić armia. Zbuntowały się legiony galijskie, obalili Nerona i wybrały cesarzem wodza swojego — Galbę. „Koniec Nerona — pisze Tacyt — w pierwszym porywie radości uważany za szczęście, wywołał różne poruszenia umysłów nie tylko w stolicy, lecz także wśród wszystkich legionów i ich dowódców, albowiem ujawniła się tajemnica panowania, że można gdzieś indziej niż w Rzymie zostać cesarzem!” Ujawnienie się tej tajemnicy kosztowało Rzym wojnę domową.

Zbliżamy się do ostatniego rozdziału eschatologii Tacycy, wchodzimy w okres rządów soldateski. „Zabieram się do dzieła — czytamy we wstępie do *Dziejów* — którego treść obfituje w srogie boje, rozterki i bunty oraz okrucieństwa nawet podczas pokoju popełniane: czterech cesarzy mieczem zgładzonych, trzy wojny domowe, jeszcze więcej zewnętrznych, a bardzo często jedne i drugie naraz, powodzenia na wschodzie, niepowodzenia na zachodzie, zbuntowana Iliria, chwiejna Galia, ujemiona Brytania, i wnet znowu poniechana... A wreszcie Italia dotknięta nowymi klęskami... pochłonięte lub zasypane miasta na tak żyznym wybrzeżu Kampanii, a Rzym spustoszony pożarami, przy czym najdawniejsze świątynie poszły w perzynę, zaś sam Kapitol ręce obywateli podpaliły; znieważone święte obrzędy, skandaliczne cudzołóstwa, morza pełne wygnaućców, splamione ich krwią skaliste wyspy”.

Nigdzie nie osiąga Tacyt tak wielkiej i skupionej siły wyrazu, jak w kreszeniu owych masowych scen wojny domowej. Nie wiem, czy bardziej podziwiać przenikliwość psychologa, który potrafił ukazać wieczną twarz podłości, wahającej się pomiędzy lękiem a chciwością, czy wielkość historyka, który tak głęboko przedarł się poprzez fakty, że w gestach i okrzykach ukazał dramat kultury.

Oto jedna ze scen, kiedy w czasie tryumfalnego przyjęcia urządzanego przez Othona wdarli się nagle na salę pijani żołnierze w niewiadomym celu, żądając ukarania cesarza: „Miał właśnie Otho licznie zebrane na uczenie towarzystwo, które składało się z najwytworniejszych mężczyzn i kobiet; oni w trwożnej niepewności, czy to przypadkowy szal żołnierzy, czy też podstęp ze strony cesarza, czy nie było by bezpieczniej pozostać i dać się zaskoczyć, czy też uciec i rozproszyć się, już to udawali pewność siebie, już też zdradzali się z obawą, a równocześnie minę Othona obserwowali: jak się to zdarza, kiedy umysły do podejrzeń są skłonne obawiano się Othona, a on tymczasem sam się obawiał.”

O dwóch postawach mówią nam zazwyczaj historycy, jakie przyjmowali ludzie wobec klęsk żywiołowych — moru, głodu i wojny. Umartwiali się jedni, dom porzucali i rodzinę, rozdzielali szaty, modląc się i poszcząc czekali nadejścia końca świata. Inni szukali odurzenia chcąc przed nieuchronną śmiercią wyczerpać wszelką rozkosz i w niej znaleźć zapomnienie. Nasze czasy pozwoliły nam być świadkami jeszcze trzeciej postawy, tak widocznie rzadkiej, że milczą o niej kroniki. W obliczu własnej i cudzej śmierci, pośród tysięcy zabitych i mordowanych, w miastach, obozach i miejscach kaźni, starali się ludzie swoim bliźnim sprzedać przed zgonem jak największą ilość towarów. O tym obłędzie handlu pośród powszechnej śmierci i o „niehumanicznej bez trosce” i spokojnym używaniu tych, którzy w danej chwili nie byli jeszcze mordowani, jeden tylko historyk mówi, a jest nim Tacyt.

„Widzem tych walk — czytamy o zmaganiach się w Rzymie wojsk Witeliusza i Wespazjana — był naród;

jakby na igrzyskach zapaśniczych to jednym, to drugim krzykiem i oklaskami swą przychylność okazywał. Ilekroć jedna z dwóch stron się zachwiała, żądał, aby ukrytych po kramach, albo zbiegłych do jakiegoś domu wywlekano i zabijano, po czym większą część łupu zagarniał: bo gdy żołnierz rozlewem krwi i mordem był zajęty, zdobycz przypadła pospólstwu. Okropny i wstrętny obraz przedstawiało miasto całe: tu potyczki i rany, tam łaźnie i knajpy, razem kałuże krwi i stosy martwych ciał, a tuż obok nierządnic i podobni im rozpustnicy; wszelakie chucie rozwiązłego pokoju, wszelakie najbardziej bezwzględne podboju zbrodnie! Słowem mógłbyś przypuścić, że to samo miasto ogarnęła wściekłość i swywoła. Już przedtem zbrojne wojska w mieście się potykały... teraz jednak panowała nadto niehumaniczna bez troska i ani na chwilę nawet nie przerywano używania”.

Pisał Tacyt jeszcze w *Rocznikach* o panowaniu Nerona — „trwała niemniej jakowaś mara Rzeczypospolitej...” Teraz, aby nikt już nie miał żadnych wątpliwości, jednym krótkim zdaniem wydrwił odwieczną ideologię rzezi: „Spłonął był już niegdyś Kapitol w wojnie domowej (za Sullii), lecz wskutek złośliwości jednostki, teraz jednak otwarcie go oblegano, otwarcie podpalamo — a jakie były do wojny pobudki? Jaki zysk z tak wielkiej klęski? Oczywiście, walczyliśmy za ojczyznę!”

Na zwycięstwie Wespazjana nad Witeliuszem urywają się *Dzieje* Tacycy. Musimy sami dokończyć dramatu tyranii. W sto lat po śmierci Tacycy rządzi znowu gwardia pretorianów. Ale coraz mniej bezpiecznie czuje się cesarz wśród Rzymian. Począwszy od Witeliusza w oddziałach, ochronnych przeważać zaczęli barbarzyńcy. Pod koniec drugiego wieku Germanowie stanowią straż osobistą cesarza. I oto, ta nowa, na pół już barbarzyńska gwardia morduje cesarów i obiór nowych wymusza na senacie. Po zabójstwie cesarza Pertynaksa przez pretorianów pod koszarami gwardii stanęli dwaj kandydaci na cesarów. Jednym z nich był Sulpicjan, teść zamordowanego, drugim Julian, najbogatszy człowiek w imperium. Kandydaci na bogów rozpoczęli między sobą zawody, kto hojniej wyposaży żołnierzy. I oto, cytując za prof. Zielińskim, opowiada współczesny kronikarz Kassius Dion — „starając się przelicytować jeden drugiego, jeden z wewnątrz obozu, drugi z zewnątrz, doszli oni wkrótce do pięciu tysięcy drachm na członka. Żołnierze przenosili wiadomości z jednego punktu do drugiego, mówiąc Julianowi — „Sulpicjan daje tyle a tyle, ile więc dodajesz?” a Sulpicjanowi znowu — „Julian obiecuje tyle a tyle, ile dodajesz do jego obietnicy?”

Zwycięzcę w tym turnieju finansowym obaliła, podobnie jak Nerona, armia. Cesarzem został wódz legionów naddunajskich Septymiusz Sewerus. On pierwszy dokonał pełnej militaryzacji imperium. Jako już całkowicie zbyteczne odrzucił ostatnie rekwizyty z czasów Rzeczypospolitej, z senatu uczynił radę miejską Rzymu proklamował zasadę dynastyczną i dziedzictwo tronu dawną administrację cesarską zastąpił nową, złożoną wyłącznie z generałów i pułkowników armii. Ostatnie jego słowa, zwrócone do synów brzmiały podobno: „Żyćcie w zgodzie, wzbogacajcie żołnierzy i nie dbajcie o resztę.” Z mądrości politycznej antyku niestety tę najrzadziej dziedziczo.

Wojskowy despotyzm i anarchia intelektualna dokończyły dzieła zniszczenia. W ślad za militaryzacją imperium nastąpić musiało nieuchronnie przeniknięcie barbarzyńców w życie państwowe Rzymu. Nie minie peł-

nych lat dwieście, a pod wodzą zromanizowanych Germanów bronić się będzie kampania rzymska i Miasto przed napierającymi Gotami.

W wielkich prologomenach Tacyta do końca świata znaleźć się musiała książka o barbarzyńcach. Przyjęła cywilizację rzymską Galia, przyjmowała Brytania, Germanowie pozostali najzaciętszymi wrogami Rzymian. Temu dzwonnemu ludowi, który niepokoił już umysły współczesnych, poświęca Tacyt osobne dzieło, które nazwać mógłby książką o granicach świata. Świat cywilizowany kończył się na Renie. „Samych Germanów — pisze — skłonny byłbym uważać za tubylców... Kto by zresztą, pomijawszy już niebezpieczeństwa okropnego i nieznanego morza, opuszczał Azję, Afrykę albo Italię, aby podążyć do Germanii, której okolice są bez powabu, klimat szorstki, a kultura kraju smutny przedstawia widok — tylko nie dla tego, komu jest ojczyzną?”

Ze wszystkich zdań Tacyta sąd jego o Germanach zrobił największą historyczną karierę; i nie wiadomo, co bardziej zdumiewa; pisarz, który ten sąd wypowiedział, czy lud, o którym po dwóch tysiącach lat sąd ten wypowiadają nie zmieniony? „Jeżeli gmina, w której się urodzili, w długim pokoju i bezczynności drętwieje, wtedy przeważna część szlacheckiej młodzieży z własnego popędu udaje się do tych plemion, które właśnie jakąś wojnę prowadzą; albowiem pokój temu ludowi nie dogadza... Nie tak łatwo byłoby nakłonić ich do uprawy ziemi, albo wyczekiwania corocznych zbiorów, jak do tego, by wyzwać nieprzyjaciela i na rany sobie zasłużyć; lenistwem nawet i gnuśnością wydaje im się w polcie czoła tego się dorabiać, co można krwią zdobyć.”

Czyż w dramacie władzy, dramacie cywilizacji rzymskiej, zabraknąć mogło sądu nad ideą podboju i organizacji świata, która treść zasadniczą tej cywilizacji stanowiła? Minęło przecież zaledwie sto lat od epoki chwwały i nieprzerwanych niemal tryumfów, kiedy Wergiliusz w *Eneidzie* zaklął zdawało by się w spiżowe heksametry wieczną misję Rzymu:

„*Tu regere imperio populos, Romane, memento!*”
Usłyszymy w *Rocznikach* jeszcze raz — „Ty, władnąc nad ludami pomnij, Rzymianinie!” ale heksametry Wergilego złamane zostaną w prozie Tacyta i już inny, głuchy wydadzą ton. W mowie legata legionów Cerialisa do szczerpów galickich, a wiemy, że historycy rzymscy przytaczane mowy wodzów sami układali, zabrzmiał jeszcze kodeks polityczny Rzymu. Ale miejsce dumnego optymizmu Wergilego zajmie gorzki mądrością doświadczenia język trzeźwości politycznej. W mowie, która zachęcić ma zbuntowane szczerpy do wierności, jako naczelny argument posłuży Tacytowi twierdzenie, że upadek Rzymu stanie się wojną wszystkich między sobą i wszystkich pod swymi gruzami zagrzebie.

„Królestwo i wojna — czytamy — zawsze w Galii istniały, aż pod nasze prawo przeszliście. My, choć tyle razy zaczepiani, prawem zwycięzców to tylko na was nałożyliśmy, czym mogliśmy pokój utrzymać, ani bowiem spokój ludów bez siły orężnej, ani siła orężna bez żołdu, ani żołd bez podatków być nie mogą. Podobnie jak posuchę albo nadmierne deszcze i inne naturalne nieszczęścia znosicie, tak zbytki lub chciwość panujących znosicie. Gdyby bowiem Rzymianie wypędzeni zostali, cóż innego stąd wyniknie, jak wojny wszystkich mię-

dzy sobą ludów? Osiemset lat szczęścia i mądrej polityki scementowało tę budowlę, ci którzy nią wstrząsną, zginą pod gruzami...”

Drugi raz jeszcze usłyszymy w Tacycie — „*Tu regere imperio...*” Tym razem już nie głuchym, ale wprost złowieszczym tonem zabrzmiał heksametr Wergilego: „Oby pozostała, błagam, i utrwałała się u tych ludów, jeśli nie miłość ku nam, to przynajmniej wzajemna ich nienawiść, skoro wobec gniojących państwo nieszczęść nic cenniejszego nie może nam los użyczyć ponad wrogów niezgodę.”

Nie miał już Tacyt żadnych złudzeń. Historyk czasów Nerona i Domicjana, który poznał, co znaczy „walczyć za ojczyznę”, wiedział dobrze, co myśleć o misji cywilizacyjnej Rzymu. „Niektóre miasta Brytanii — czytamy — darowano królowi Kogidumnusowi, stosownie do starożytnego i od dawna już przez naród rzymski przyjętego zwyczaju, żeby jako narzędzie niewoli także królów posiadać.”

Na wiarę w postęp zdobył się dopiero wiek osiemnasty, wiek, w którym tak ufano w dobroć naturalnego porządku, że Wolter nie wierzył Tacytowi, ponieważ „okropności, o których pisze zbyt wiele wstydu przynoszą naturze.” Starożytność wierzyła powszechnie, że po złoty wieku następowal srebrny, po nim wiek żelaza i wszystko zmierza ku coraz gorszemu. Nieścy cywilizację — wiedział Tacyt — znaczy nieścy niewolę. „Synów naczelników brytyjskich — czytamy — kazal rzymski namiestnik kształcić w sztukach wyzwolonych, tak że oni, którzy dopiero co odtrącali język Rzymu, zapragnęli jego wymowy. Potem nabrał szacunku nasz strój i częsta stała się toga; powoli doszli do przynęt występku: portyków, łaźni i wykwintnych uczt, a nazywało się to u tych głupców cywilizacją, kiedy w rzeczywistości było udziałem niewoli.”

W tej wielkiej eschatologii starożytności brak nam jeszcze jednego obrazu. Książki o końcu świata przynoszą zawsze wizje zagłady. I oto na ostatniej stronie *Germanii* ukaże nam Tacyt obraz na pół już bajecznych Fennów, którzy z tego całego świata, o którym pisze, jedyni tak są szczęśliwi, że nawet życzeń nie mają.

„Fennowie wyróżniają się zdumiewającą dzikością i wstrętnym ubóstwem: nie mają ani broni, ani koni, ani domowego ogniska; pożywieniem ich ziemia, odzieniem skóry, legowiskiem ziemia; jedyna ich nadzieja w strzałach, których ostrza z braku żelaza sporządzają z kości. To samo polowanie żywi zarówno mężczyzn jak i kobiety, te bowiem wszędzie mężczyznom towarzyszą i żądają części zdobyczy. Małe dzieci nie mają innego przed deszczem i zwierzem schronienia, prócz byle jak ze splecionych gałęzi urządzonej kryjówki: tam wracają jako młodzieńcy, tam jest dla starców przytułek. Lecz uważają to za szczęśliwszy los niż stękać nad rolą, trudzić się budową domów, o własnej i cudzej fortunie rozmyślać; zabezpieczeni przeciw ludziom, zabezpieczeni też przeciw bogom, osiągnęli rzecz najtrudniejszą że nawet życzeń nie mają”.

(1943)

Przypisane
Mieczysławowi Jastrunowi

WŁODZIMIERZ MICHAŁOW

PRZED REFORMĄ SZKOLNICTWA POLSKIEGO

Pierwszy Ogólnopolski Zjazd Oświatowy, który obradował w Łodzi w dn. 18—22 czerwca zasługuje na omówienie nie tylko dlatego, iż poruszone na nim zostały zagadnienia oświatowe, które obchodzić winny każdego członka polskiej wspólnoty kulturalnej — był on ponadto doniosłym wydarzeniem natury społecznej i politycznej.

Zjazd został zwołany przez Ministerstwo Oświaty w celu przedyskutowania zasadniczych problemów oświatowych — a w pierwszym rzędzie — opracowywanego od kilku miesięcy projektu szeroko zakrojonej reformy szkolnictwa. Oglądając się wstecz na dotychczasowe osiągnięcia Resorstu Oświaty PKWN — a następnie Ministerstwa Oświaty Tymczasowego Rządu Narodowego, na jego blisko jedenastomiesięczny dorobek przedzjazdowy, wyróżnić możemy wyraźnie dwa etapy prac:

Z chwilą wyzwolenia pierwszych ziem polskich w lipcu 1944 r. zostaje rzucone hasło „uruchomić szkoły i rozpocząć naukę”. Przed ofensywą styczniową istniała już i działała na terenie województw prawobrzeżnych i średnich, w Lublinie zaś powstał nowy uniwersytet — im. M. Curie-Skłodowskiej. Jednocześnie zostają podjęte prace nad usunięciem śladów sanacyjnej gospodarki w szkolnictwie — pewnym zmianom ulega program nauki języka ojczystego, języka niemieckiego, historii, przyrody.

Po wyzwoleniu dalszych połaci kraju jeszcze wśród huków bomb i grzotów salw artyleryjskich, organizuje się i krzepnie szkoła polska na wyzwolonych terenach. Z niczego tworzy się administracja szkolna, w naprędcie reperowanych budynkach szkolnych po raz pierwszy od sześciu prawie lat rozbrzmiewa swobodnie polska mowa, słowa prawdziwej nauki.

Uchwycenie zrębów organizacyjnych szkolnictwa, podjęcie nauki w szkołach wszystkich stopni na razie w ramach przedwojennego ustroju i według dawnych, częściowo tylko skorygowanych programów, wymagało niezwykle ofiarnych wysiłków nauczycielstwa, rodziców młodzieży oraz administracji szkolnej. Ten pierwszy etap został przeżyty w wyjątkowo krótkim czasie. — Wystarczy powiedzieć, że w 1 1/2 miesiąca po wyzwoleniu, w zburzonej i spalonej Warszawie zaczynają działać pierwsze szkoły.

Kontynuując prace nad rozbudową szkolnictwa, racjonalnym rozmieszczeniem kadrów nauczycielstwa w terenie, porając się z niezwykle zawilgłymi problemami poprawy bytu nauczycielskiego, planując i przeprowadzając uruchomienie wyższych uczelni, wznawiając działania oświatowe na odzyskanych ziemiach zachodnich, Ministerstwo rozpoczyna jednocześnie intensywne przygotowania do reformy szkolnictwa. W ciągu tego drugiego etapu prac Ministerstwa, nowoutworzony Departament Reformy Szkolnej skupia dokoła siebie szereg doświadczonych pedagogów, mobilizuje na terenie Warszawy najwytrawniejszych specjalistów - oświatowców. W ogniu dyskusji, na setkach posiedzeń i zebrań wykuwają się stopniowo zarysy nowej, demokratycznej szkoły, która ma się stać potężnym narzędziem upowszechnienia kultury w Polsce i wyrównać wielowiekową krzywdę oświatową tzw. „dółów społecznych”, odsuniętych dotąd od roli — nie tylko współtwórców dóbr kulturalnych — ale nawet i najskromniejszych konsumentów.

Zjazd łódzki miał za zadanie postawić problem reformy przed polskim światem pedagogicznym, przed całym zorganizowanym społeczeństwem jako problem niemniej doniosły w dziedzinie kulturalnej od np. reformy rolnej w dziedzinie stosunków społecznych. Zjazd miał szeroko przedyskutować ministerialny projekt reformy w najbardziej do tego celu powołanym gronie, przed powzięciem ostatecznych decyzji, przed wejściem w trzecią fazę prac Ministerstwa — fazę realizacji reformy.

Skład personalny Zjazdu Oświatowego, — który prasa przezwala Sejmem Oświatowym — był pomyślany tak, by w miarę możliwości wszelkie czynniki mające coś do powiedzenia w sprawach oświaty były odpowiednio reprezentowane. Poza przedstawicielami władz Rzeczypospolitej, Wojska Polskiego, Kościołów — katolickiego i ewangelickiego, świata naukowego, administracji szkolnej, Związku Nauczycielstwa Polskiego, zainteresowanych w sprawach szkolnictwa ministrów fachowych, na sali — wśród 685 uczestników byli obecni przedstawiciele organizacji społecznych, partii politycznych, związków młodzieżowych oraz — indywidualnie zaproszeni — najwybitniejsi przedstawiciele polskiej myśli pedagogicznej. Należy podkreślić, iż na Zjeździe tym — pierwszym w Odrodzonej Polsce — obecne były delegacje bratnich narodów słowiańskich. Przedstawiciele Ludowego Komisarjatu Oświaty Republiki Białoruskiej oraz Ministerstwa Oświaty Republiki Czechosłowackiej wnieśli rzeczowy wkład w prace Zjazdu przez wygłoszenie cennych przemówień informujących między innymi o stanie szkolnictwa w reprezentowanych przez nich państwach.

W ciągu pięciu dni wyczerpanej pracy na plenum i w sekcjach, w ramach wzorowej — jak to zgodnie podkreślali wszyscy uczestnicy — organizacji technicznej i programowej, poddano szerokiej dyskusji projekt reformy przedłożony przez Ministerstwo.

Główne wytyczne projektu tego zostały dość szczegółowo omówione w prasie codziennej jeszcze przed Zjazdem, gdyż z braku prasy fachowej Ministerstwo starało się tą drogą informować społeczeństwo o stanie tych prac, są więc one na ogół szerokiemu ogółowi znane. Należy się wdając się w szczegóły można ująć zasadnicze punkty projektu w sposób następujący: głównym celem reformy jest demokratyzacja szkoły, pojęta w pierwszym rzędzie jako realizacja zasady równego startu życiowego dla całej młodzieży poprzez przebudowę struktury szkoły, oraz jeśli chodzi o treść nauki szkolnej, o programy — oparcie nauki szkolnej na rzetelnej, systematycznie wykładanej wiedzy, zastąpienie antydemokratycznej ideologii cechującej dawne programy ideologią narodową, demokratyczną.

Szkoła jednolita, powszechna, publiczna i bezpłatna ma według projektu Ministerstwa — tworzyć zasadniczy tor oświatowy, dostępny dla całej młodzieży, przebycie którego od początku do końca, od przedszkola do uniwersytetu jest o tyle ułatwione, iż staje się realnie możliwe dla każdej jednostki, niezależnie od jej sytuacji społecznej i majątkowej oraz od miejsca urodzenia. Przez rozszerzenie ram przymusu szkolnego o jeden rok od 7 do 15 lat — i stworzenie ośmioletniej i ośmioklasowej szkoły, mieszczącej dwa cykle programowe — pięcioletni propedeutyczny i trzyletni gimnazjalny — ma być osiągnięte upowszechnienie nauki gimnazjalnej, bę-

dającej dotąd przywilejem „elity” społecznej. Główną troską autorów projektu było podniesienie kulturalne wsi przez wprowadzenie do programów szkoły wiejskiej podstawowych elementów nauki gimnazjalnej. Projekt przewiduje również wprowadzenie etapami trzyletniego obowiązku przedszkolnego.

Szkołą opartą na ośmioletniej szkole zasadniczej ma być trzyletnie liceum ogólnokształcące lub zawodowe, o takim programie, by ukończenie jego dawało możliwość wstąpienia na dowolną wyższą uczelnię, bądź też po roku lub dwóch latach dalszych studiów zawodowych — do uzyskania pełnych kwalifikacji zawodowych (np. technika, agrotechnika itp.). Tak zarysowany jednolity pion oświatowy ma z czasem w miarę równoległe prowadzonej likwidacji skutków wojny na odcinku oświatowym — objąć całokształt szkolnictwa, ma się rozrastać i ustalać w miarę dalszej odbudowy państwa i naszej gospodarki. W kwestii bowiem realizacji projektu reformy szkolnej stanowisko Ministerstwa można by scharakteryzować jako wprowadzające przemiany zasadnicze, lecz stosujące w planach wykonania metody ewolucyjnego i nacechowanego ostrożnością działania.

Z dniem 1 września br. reforma ma być podjęta i skodyfikowana ustawowo, mając być przede wszystkim zlikwidowane jako takie szkoły najniższego stopnia organizacyjnego — jednoklasówki wiejskie, ślepe zaułki dotychczasowej struktury, zamykające młodzieży chłopskiej drogę do dalszej nauki — mają być tworzone w gminach pełne ośmioklasowe szkoły. Dalsza jednak realizacja projektu ma się odbywać rozwojowo, bez doktrynizmu, z uwzględnieniem istotnych potrzeb i warunków lokalnych. Szczególną pieczę wypadnie otoczyć sieć szkolną na odzyskanych ziemiach zachodnich. Główne problemy reformy zostały na Zjeździe szczegółowo nawświetlone na tle całokształtu sytuacji w kraju przez ministra dr Stanisława Skrzyszewskiego w wyczerpującym referacie; zagadnienia strukturalne oświetlił referat wiceministra Wł. Bieńkowskiego n.t. „Podstawowe zasady reformy ustroju szkolnego”. O „Zasadach przebudowy programów szkolnych”, mówiła dyr. dr Ż. Kormanowa. „Zadania nauczyciela w nowej Polsce” omówił prezes Zarządu Głównego Związku Naucz. Polskiego ob. Czesław Wycech. W czwartym i piątym dniu Zjazdu przemawiali dr M. Falski — o zagadnieniu sieci i kadrów w związku z realizacją nowego ustroju szkolnego oraz dyr. A. Przedpelski na temat ogólnych wytycznych oświaty dorosłych i upowszechnienia kultury w dobie obecnej. Wyczerpująca dyskusja na plenum oraz prace w sekcjach organizacyjnych i programowych wypełniły czas pozostały.

Zanim się merytorycznie oceni wyniki Zjazdu, wydaje się wskazanym scharakteryzować pokrótce nastrój panujący na sali, klimat jaki się wytworzył w trakcie prac zjazdowych. Dwa zasadnicze elementy mogły na ten nastrój wpłynąć. Wskutek szczególnych warunków prac Ministerstwa — trudności komunikacyjnych, specyficznych warunków lokalnych, braku sprawnej łączności, trudności kolportażu prasy, braku pism pedagogicznych, dokoła projektu reformy wytworzyła się atmosfera, którą określono jako atmosferę „tajemniczości”. Sądzono, iż Ministerstwo będzie chciało projekt swój niejako „narzucić”. Bez przesady można stwierdzić, iż nastroje tego rodzaju zostały rozwiane już w pierwszym dniu Zjazdu. Szczera chęć przedyskutowania projektu w ramach najbardziej swobodnej krytyki została przez uczestników Zjazdu zrozumiana i oceniona.

Druga sprawa. Po raz pierwszy w dziejach Polski czynnik administracji szkolnej — Ministerstwo Oświaty,

powołał na współgospodarza Zjazdu najpotężniejszą organizację nauczycielską ZNP w ramach prac nad projektem reformy szkolnej ZNP zapisał chlubną kartę w historii oświaty polskiej jako wypróbowany obrońca ideałów demokratycznych, jako ważki czynnik opozycyjny w stosunku do przedwojennych rządów sanacyjnych i ówczesnych władz oświatowych. Dla niejednego działacza związkowego, wychowanego w atmosferze walki ideowej z Ministerstwem WR i OP, przedstawienie się na nowe tory, wzięcie się w nową sytuację, w której czynnik administracyjny i ZNP wspólnie pracują nad tym samym dziełem demokratyzacji oświaty — wymagało niemałego wysiłku, zresztą obustronnego. Wysiłek ten został dokonany. Nufy nieistotnej, jałowej opozycji w stanowisku ZNP i pewne zahamowanie w stanowisku Ministerstwa Oświaty zostały przezwyciężone. Pewne demagogiczne akcenty wywołujące tanie poklaski znikły skoro się okazało, iż są one bezprzedmiotowe, i że Ministerstwo pragnie w zasadzie tego samego co ogół nauczycielstwa. Będąc jednak w innej sytuacji, będąc dokładniej zorientowane w obiektywnych trudnościach i konkretnych możliwościach reformy, Ministerstwo, chcąc nie tylko projektować lecz i realizować z całym poczuciem odpowiedzialności, musi projektować realniej. Dla szybkiego ustalenia się atmosfery wzajemnego zaufania i zgodnej współpracy nie bez znaczenia pozostał niewątpliwie i ten fakt, że projekty Ministerstwa w miarę postępu prac nad nimi były komunikowane przedstawicielom ZNP i przez różne ośrodki nauczycielskie zawczasu przedyskutowane. W miarę tych dyskusji projekty te ulegały pewnym zmianom. Wyrazem wzajemnego zrozumienia obu czynników — państwowego i społecznego była deklaracja prezesa Zarz. Gł. ZNP ob. Czesława Wycecha, i jeśli chodzi o merytoryczne sprawy — jednogłośnie przyjęcie przez Zjazd rezolucji końcowej.

Dyskusja wniosła sporo ciekawych momentów, które nie pozostaną bez wpływu na ostateczne sformułowanie projektu nowego ustroju szkolnictwa. Dowiodła ona jednocześnie — śmiało to można przewidzieć — iż projekt Ministerstwa był przepracowany rzetelnie i stanowił wyraz postępowej myśli pedagogicznej. Najwięcej konkretnych zastrzeżeń budziła sprawa czasu trwania nauki w liceum. Wielu mówców — w pierwszym rzędzie reprezentanci ZNP — wypowiadało się za 4-letnią nauką licealną, chcąc zamknąć całość kursu szkoły powszechnej i średniej w ramach nie 11 lecz 12 lat. 10-letniej szkoły powszechnej i 3-letniego liceum zawodowego domagał się ob. Garnarczyk, przedstawiciel KW Str. Ludowego. Wyrażano także obawy, iż niepowodzenie próby upowszechnienia gimnazjum może skompromitować samą ideę i przynieść w przyszłości poważne szkody. Zarówno w wystąpieniach przedstawicieli ZNP, jak i Str. Ludowego akcentowano mocno postulat szkoły świeckiej i utrzymania nauki religii w szkole jako przedmiotu nadobowiązkowego. Przedstawiciel ZNP wiceprezes Zarz. Gł. ob. K. Maj postawił zagadnienie reformy szkolnej na szerszej płaszczyźnie, jako jednego z odcinków ogólnych prac nad upowszechnieniem kultury oraz likwidacją skutków wojny i okupacji. Ob. Maj domagał się stworzenia ogólnego planu oświatowego, w ramach którego pomieściłoby się również zagadnienie reformy szkolnictwa.

W dyskusji nad projektami nowego ustroju szkolnictwa wyrażano obawy, by w trakcie ich realizacji nie została pokrzywdzona wleś przez rozbięcie szkoły 8-letniej na dwa szczeble nie tylko programowe lecz i organizacyjne, co mogło by doprowadzić do ustalenia się na wsi szkoły pięcioletniej jako szkoły masowej. Rozwiązanie problemu nowych kadrów nauczycielskich drogą skiero-

wania do zawodu nauczycielskiego młodych sił nie posiadających pełnych kwalifikacji (po maturze licealnej lub małej maturze i krótkoterminowych kursach) budziło obawę obniżenia poziomu nauki. Na inne trudności związane z realizacją nowego ustroju wskazywał cały szereg mówców.

Sprawy programowe przedstawione w projekcie Ministerstwa budziły stosunkowo najmniej zastrzeżeń. Podnoszono konieczność wyraźnego sprecyzowania nowego ideału wychowawczego i zasad naukowego światopoglądu. Sprawa równowagi pomiędzy przydziałem godzin dla przedmiotów tzw. humanistycznych i nauk ścisłych była również poruszona. W trakcie dyskusji rozwiany został pogląd, budzący poważne obawy zwłaszcza u wie-rzących w nadejście nowej epoki: neohumanizmu, jakoby projekty programowe Ministerstwa zmierzały do „odhumanizowania” programów, podczas gdy chodziło jedynie o przywrócenie właściwych proporcji i o usunięcie dowolnej interpretacji materiału naukowego przedmiotów tzw. humanistycznych.

Wyniki prac Zjazdu od strony merytorycznej zostały utrwalone w jednogłośnie przyjętej rezolucji, którą przytaczamy w całości, gdyż będzie ona stanowiła ważną wytyczną dla dalszych prac oświatowych w szczególności w zakresie reformy szkolnej.

1. Zjazd podkreśla potrzebę jak najszybszego zorganizowania wszystkich istniejących szkół i objęcia przez nie możliwie całej młodzieży w wieku szkolnym.

2. Zjazd stoi na stanowisku konieczności reformy systemu kształcenia w oparciu o następujące zasady:

a) powszechność, bezpłatność, publiczność i jednolitość na wszystkich poziomach systemu oświaty szkolnej i pozaszkolnej;

b) decentralizacja szkół średnich;

c) obowiązkowe przedszkola dla dzieci w wieku od 3 do 6 lat, zakładane i utrzymywane przez związki publiczne (państwo i samorząd);

d) 8-letnia i 8-klasowa obowiązkowa i jednolita pod względem organizacyjnym i programowym szkoła zasadnicza na wsi i w mieście;

e) średnia szkoła ogólnokształcąca, której czas trwania zostanie ustalony przy wzięciu pod uwagę motywów zarówno natury społecznej jak i pedagogiczno-dydaktycznej;

f) szkoła zawodowa oparta na podbudowie 8-klasowej szkoły zasadniczej;

g) młodzież kończąca 8-klasową szkołę zasadniczą, nie uczęszczająca do szkół zawodowych lub ogólnokształcących, podlega obowiązkowi kształcenia zawodowego, niezależnie od tego, czy pracuje czy nie. Obowiązek ten rozciąga się na młodzież do 18-go roku życia; szkoły zawodowe wszystkich stopni muszą przygotować młodzież pod względem teoretycznym i praktycznym do wykonywania zawodu oraz dawać wykształcenie ogólne, umożliwiające dalszą naukę na stopniu wyższym. Obok szkół zawodowych winien być szeroko rozbudowany system pozaszkolnego kształcenia zawodowego;

h) oświata dorosłych w postaci szkół i kursów, bibliotek powszechnych, uniwersytetów ludowych i robotniczych oraz kolegiów robotniczych w szkołach wyższych, teatrów zawodowych, filharmonii, muzeów, kin oświatowych itp.;

i) zapewnienie państwu i związkowi publicznym odpowiednich sum na stworzenie sieci internatów i szeroka akcja stypendialna.

3. Zjazd z zadowoleniem przyjmuje zapowiedź przekształcenia od dnia 1 września br. szkół powszechnych

o 1 nauczyciela na szkoły o 2 nauczycielach i stopniowe przekształcanie szkół powszechnych na rozwojowe 8-klasowe szkoły zasadnicze.

4. Zjazd podkreśla konieczność jak najbliższej współpracy między Związkiem Nauczycielstwa Polskiego i czynnikiem społecznym a Ministerstwem Oświaty nad reformą szkolną. Organizacje nauczycielskie winny brać udział w tych pracach z odpowiednim głosem.

5. Zjazd stoi na stanowisku, że całokształt systemu kształcenia zarówno młodzieży jak i dorosłych winien podlegać Ministerstwu Oświaty, które jedynie może zapewnić konsekwentne i jednolite realizowanie podniesienia poziomu oświaty w społeczeństwie i wszczepianie jednolitych zasad wychowawczych.

Ministerstwa fachowe — w pierwszym rządzie Przemysłu, Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Apropowicji i Handlu winny w szerokim zakresie współdziałać z Ministerstwem Oświaty w zakładaniu i utrzymywaniu szkół zawodowych oraz w pozaszkolnej akcji w dziedzinie oświaty dla dorosłych.

6. Zjazd zwraca uwagę na konieczność zajęcia się sprawą szkolnictwa specjalnego i objęcia go projektowaną reformą szkolną.

7. Zjazd uznaje za konieczne opracowanie przepisów prawnych o obowiązkach szkolnym, zakładaniu i utrzymywaniu przez samorząd terytorialny internatów, dowożeniu dzieci i wytyczeniu dróg prowadzących do szkół.

8. Zjazd Oświatowy poleca szczególnej opiece Ministerstwa Oświaty, Związku Nauczycielstwa Polskiego i innych organizacji społecznych ziemie zachodnie, uznając, że ich potrzeby oświatowe i kulturalne muszą się znaleźć na pierwszym miejscu bieżących zadań państwa i społeczeństwa.

9. Zjazd Oświatowy wypowiada się za wprowadzeniem zmian programowych, zmierzających do oparcia materiału nauczania na podstawach naukowych, do szerszego uwzględnienia nowej tematyki demokratycznej, antyniemieckiej i słowiańskiej oraz do oparcia szkoły na demokratycznych ideałach wychowania.

Oceniając wyniki zjazdu należy wziąć pod uwagę moment historyczny, w jakim się obrady Zjazdu toczyły. Pozytywne wyniki narad moskiewskich, stwarzające przesłankę do stworzenia Rządu Jedności Narodowej zostały zakomunikowane Zjazdowi przez min. Skrzyszewskiego, co wywołało szczerą entuzjazm zebranych. Zjazd był z tymi doniosłymi wydarzeniami o tyle zsynchronizowany, iż realizował ideę zjednoczenia narodowego na odcinku oświatowym. Uzgodnienie poglądów i zapowiedź ścisłej współpracy pomiędzy Ministerstwem Oświaty a Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, solidarne wystąpienie min. Skrzyszewskiego i prezesa Wycecha, w kilka dni po Zjeździe powołanego na stanowisko ministra oświaty w Rządzie Jedności Narodowej, są niewątpliwie bardzo szczęśliwą prognozą dla przyszłości szkoły polskiej.

Należy stwierdzić, iż w trakcie obrad, w atmosferze najwyższej powagi i poczucia odpowiedzialności wobec przyszłych losów odrodzonego państwa, potrzeba reformy szkolnej zmierzającej do demokratyzacji całokształtu spraw oświatowych w Polsce została jednogłośnie uznana i uroczyście we wnioskach potwierdzona. Pod tym względem Zjazd okazał się kontynuatorem pięknych tradycji polskiej demokratycznej myśli pedagogicznej, godnym spadkobiercą Komisji Edukacji Narodowej i Sejmiku Nauczycielskiego, realizatorem dążeń i wysiłków wielu pokoleń pedagogów i działaczy oświatowych.

Zręby nowej, demokratycznej szkoły zarysowały się na Zjeździe zupełnie wyraźnie. Opracowanie wielu szczegółów, uzgodnienie szeregu poglądów drogą szerokiej publicznej dyskusji stanie się sprawą najbliższej przyszłości. Zjazd łódzki stanowi olbrzymi krok naprzód w sprawie budowy nowej szkoły w Polsce. Na tym polega jego niezaprzeczalne, rzec można, historyczne znaczenie.

STANISZAW EHRlich

W SPRAWIE REFORMY STUDIÓW PRAWNICZYCH

Zdarzyło mi się w ostatnich czasach omawiać sprawę reformy studiów prawniczych z wieloma ludźmi zajmującymi odpowiedzialne stanowiska w naszym życiu publicznym. Stwierdziłem, że zagadnienie nie jest należycie docenione.

Tym, którzy problem ten lekceważą, chciałbym przypomnieć, że *nie ma państwa bez prawa i prawa bez państwa*. Sprawa wyszkolenia kadrów prawniczych, to sprawa przyspieszenia odbudowy państwa, sprawa szybszej organizacji nowych stosunków społecznych, to gwarancja, że wola narodu wyrażona w ustawie nie będzie wypaczona przez nieumiejętność.

System naszych studiów prawniczych krytykowany był od dawna zarówno przez uczonych (prof. Znamierowski, Koschembahr — Łyskowski i inni) jak i przez praktyków.

Na kilka lat przed wojną zagadnieniem tym zajął się gruntownie Związek Zrzeszeń Młodych Prawników, na polecenie którego specjalna komisja złożona z wybitnych prawników młodego i starszego pokolenia opracowała projekt reformy studiów prawniczych. Reforma ta dziś jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek. Decyzja, w jakim kierunku powinna iść reforma zależy od odpowiedzi na pytanie, jakich chcemy prawników?

Ustrój społeczny, jaki ukształtował się w Polsce, — według trafnego określenia ministra Minca — kapitalizm okiełznany, kapitalizm ograniczony. W nowej fazie ustrojowej, w którą wkroczyła Polska, wzrosło znaczenie prawa jako czynnika organizującego i wychowawczego. Trzeba nam wielu tysięcy prawników — organizatorów życia gospodarczego i społecznego, sprawnych, wykwalifikowanych urzędników. Aparat państwowy i samorządowy, Związek Samopomocy Chłopskiej, organizacje spółdzielcze czekają na prawników.

Wiele naszych niedomagań pochodzi stąd, że w aparacie państwowym i samorządowym niedostateczna ilość urzędników ma należyte pojęcie o prawie i stosowaniu norm prawnych. Złu może zaradzić reforma uniwersyteckich studiów prawniczych i stworzenie średniego szkolnictwa prawniczego.

REFORMA STUDIÓW UNIWERSYTECKICH

Program obowiązujący na wydziałach prawnych jest przestarzały, a metody dydaktyczne na średnio-wiecznym poziomie. Nie można dłużej wychowywać teoretyków, oderwanych od rzeczywistości gospodarczej i społecznej, dla których norma prawna, „był prawny” jest wszystkim. Prawnik, opuszczający mury wyższej uczelni, jako bałagał umysłowy, wynosił strzępki teorii, pojęć, formuł, niepowiązanych ze sobą wiadomości, przydatnych może do podtrzymania konwersacji towarzyskiej, ale niedostatecznych dla rozwiązania praktycznych zagadnień. Naszych prawni-

Data 18—22 czerwca 1945 r. wejdzie do historii polskiej szkoły przede wszystkim jako data zadeklarowania niezłomnej woli Narodu do podjęcia wielkiego dzieła reformy szkolnictwa w duchu jego demokratyzacji i dostosowania do istotnych, głęboko pojętych potrzeb wszystkich warstw społecznych Narodu Polskiego i całego Państwa.

ków wychowywano w duchu niezmienności pojęć i trwałości systemów prawnych. Przygotowywano ich nie do służby publicznej, społecznej, ale do służenia przede wszystkim interesom prywatno-prawnym.

Stąd sylwetka prawnika, jaka utrwaliła się w świadomości społeczeństwa: sylwetka człowieka o umyśle skostniałym, przez swój bezduszny formalizm i pniactwo będącego raczej przeszkodą aniżeli pomocą w organizowaniu życia społecznego.

Prawnik, jakiego dziś potrzebujemy, winien dzięki wszechstronnej znajomości obowiązującego prawa i umiejętności jego stosowania, znajomości życia gospodarczego i społecznego, umieć stworzyć i przeobrazić nowe stosunki społeczne.

I dlatego słuszne jest żądanie projektu reformy, opracowanej przez młodych prawników. Zasadniczym zadaniem wydziału prawnego jest wszechstronne zaznajomienie słuchaczy z polskim prawem pozytywnym, tzn. takie zaznajomienie, które by zapoznało ich z treścią przepisów prawnych i potrzebami społecznymi, którym służą.

Równocześnie w projekcie wysunięto postulat specjalizacji studiów: „Student wydziału prawa otrzymuje jeden i ten sam zasób wiadomości bez względu na to, czy ma być sędzią lub adwokatem, cywilistą albo kryminologiem, oficerem policji, urzędnikiem administracji państwowej lub samorządowej, urzędnikiem skarbowym, urzędnikiem służby dyplomatycznej itd. Błędne i przestarzałe jest mniemanie, że uniwersyteckie studia prawnicze mają na celu umożliwienie jakiegoś ogólnego teoretycznego przygotowania do pracy zawodowej, wyrobienia jakiejś prawniczej „kultury” i swoistego prawniczego rozumowania. W dzisiejszej dobie ścisłej specjalizacji i naukowej organizacji ogólna prawnicza kultura, ogólne prawnicze teoretyczne przygotowanie — jeśli nie idą w parze z dokładną znajomością prawa obowiązującego — są właściwie synonimem zwykłego dyletantyzmu”.

W okresie tworzenia nowych form gospodarczych i społecznych płynne będą również układy prawne i dlatego prawnika trzeba wychować w duchu relatywizmu systematów prawnych, wpoić mu świadomość nieuchronności ich przekształceń. Ukazanie perspektywy historycznych przemian, jakim podlegają instytucje prawne, jest rzeczą cenną, ale niewystarczającą. Zapoznanie prawników z przemianami ustrojów społecznych będzie jeszcze bardziej wartościowe i pouczające. *Historia ustrojów społecznych — to dyscyplina na wydziale prawa konieczna*.

Projekt reformy trafnie występuje przeciw nadawaniu nauce prawa rzymskiego znaczenia jakiejś szkoły rozumowania prawniczego, bo takiego... nie ma. Jest tylko rozumowanie poprawne, a tego uczy logika formalna i semantyka

Przed wojną w bibliotekach światlejszych prawników można było się natknąć na kodeks cywilny RSFRR (tłumaczenie Tylbora). Ale już prowincjonalny prawnik mógł spytać, czy w Związku Radzieckim jest prawo? Czy istnieje własność prywatna? — a odpowiedź twierdzącą przyjąć z niedowierzaniem.

Sądzę, że nie należy zwlekać z wprowadzeniem *studium ustroju i prawa radzieckiego*. Prawnik polski, który nie zna ustroju i prawa obowiązującego w jednej szóstej części świata, nie znający prawa państwa, z którym połączają nas węzły ożywionych stosunków gospodarczych i kulturalnych jest zjawiskiem kompromitującym. Studium ustroju i prawa radzieckiego jako oddzielnego przedmiotu jest uzasadnione tym, że prawo to wyrasta z odrębnych podstaw teoretycznych.

Konieczne będzie również danie studentowi elementarnych wiadomości o prawie anglosaskim, tak różnym od systemów prawnych kontynentu.

Jakkolwiek projekt zawiera luki (o których była mowa), a niektóre jego postulaty budzą zastrzeżenia (analiza matematyczna, jako przedmiot obowiązkowy), bądź przestały być aktualne (prawo kartelowe), to jednak winien być wzięty jako podstawa dyskusji.

Związanie studiów prawniczych z praktyką społeczną przez zmianę programu i wprowadzenie praktyk obowiązkowych dla studentów uczyniłoby zbędnym tworzenie specjalnych wyższych uczelni prawniczych.

Natomiast powstaje pytanie, czy nie było by celowe przeniesienie pracy naukowej do instytutów badawczych, powiązanych organizacyjnie z wydziałami prawnymi.

SREDNIE SZKOLNICTWO PRAWNICZE

Reforma studiów uniwersyteckich nie rozwiązuje jednak zagadnienia masowych kadrów prawniczych. Studia uniwersyteckie trwają długo i dają wykształcenie nie potrzebne prawnikowi, zajmującemu niższe stanowisko w aparacie państwowym lub samorządowym. Stanowiska te zajmują wykonawcy, których zakres działania jest wąski, a sposobność do samodzielnej decyzji rzadka, toteż nie trzeba im tego zasobu wiedzy, jaki daje uniwersytet.

Przed wojną nagminne było zjawisko, że prawnik po skończeniu studiów uniwersyteckich zajmował stanowisko nie odpowiadające jego wykształceniu. Studiować prawo rzymskie, zagłębiać się w finanse prawa hipotecznego, aby zostać urzędnikiem celnym, oto jawny absurd. Niewspółmierność między przygotowaniem a zawodem wykonywanym była nie tylko marnotrawstwem sił i czasu, ale zjawiskiem szkodliwym społecznie.

W październiku ub. r. przedstawiłem Ministerstwu Sprawiedliwości projekt zorganizowania średniego szkolnictwa prawniczego, które w odróżnieniu od tego typu szkolnictwa, istniejącego w Związku Radzieckim, miałyby szkolić nie tylko niższy personel sądowy, ale także urzędników administracyjnych. Ministerstwo Sprawiedliwości podjęło w kierunku realizacji tego projektu pewne kroki przygotowawcze, powołując do życia Departament Szkolenia Zawodów Prawniczych. Sprawa ta interesuje oczywiście również Min. Oświaty i Min. Administracji Publicznej.

Za wprowadzeniem średniego szkolnictwa prawniczego wypowiedziała się również komisja, wyłoniona przez Związek Zrzeszeń Młodych Prawników:

„Rzemieślnik, rolnik, czy technik kończą specjalne szkoły zawodowe, a tylko od niższego pracownika społecznego, który ciągle ma do czynienia z normami

prawnymi, nie wymaga się odpowiedniego przygotowania.

Średnia szkoła prawnicza miałaby charakter liceum dwu- albo trzyletniego, do którego mieliby dostęp absolwenci gimnazjum. Ukończenie liceum dawałoby również prawo do studiowania na wydziale prawnym uniwersytetu.

Reforma wyższych studiów prawniczych i stworzenie średniego szkolnictwa prawniczego, jakkolwiek są to sprawy należące do dwóch różnych ministerstw, winny być traktowane łącznie, jako dwa ogniwa tego samego zagadnienia.

IGNACY FIK

STOLICA

Kredyś
gdy przepych przewidziany dla najpiękniejszych
bił będzie miarową kaskadą metropolii
a najsmuklejsze pałace ze szkła dotykać będą palce
księżycy
leniwego boga o białych i długich ramionach
— każą nam mówić o tobie stolicco!

Każą nam mówić, a my odlegli emeryci prowincji
i czasów których kupony tak bardzo tanie będą
będziemy myśleć o tobie w historii
stolicy trupów i gruzu, krwi zageszczonej i czadu
odnawiając te dni

gdy przyczepieni do głośników tajnej radiostacji
gryźliśmy drzące wargi i lzy zdzierali żrenicom
a później gdyśmy szli ku twoim przedmieściom
by móc ustami dotknąć najbardziej brudnych
kamieni

i płakać długo i cicho, zębami dzwoniąc
że tak się stać mogło. z przerażenia

Kto stamtąd przyjechał, przytakiwał, że był
i nie mógł mówić.

Ta jest prawdziwa stolica, której nie sława wieków
jest twarzą

nie gwiazdy zapowiadające wspaniałe niebo
lecz refleks dogasającej łuny
miasto? nie! pole bitwy!

— którą nazywam żołnierzem
a większego nie umiem ujrzeć wyrazu.

Ta jest stolica która nie prosi o nic
niczego nie chce, nic nie ma w muzeach
nic dla głośnej historii i wzoru
stoi wśród cieni i nie wie nawet
jak rośnie realnie skalistym dnem
w rozgależeniach zwierzęcej krwi najkruchszych
nawet ludzi.
Ileż trzeba porażek i klęsk
ileż zdrady, poptochu, zbrodni, zniszczenia —
aby przyklekła
choć przez potknięcie i zmęczenie!

Warszawo! kiedy przejdzie Polska — ta od nadziei
i ta od nienawiści po zemsty noże

— kiedy zostanie tylko szafot w noc popryska-
ną bliznami
aby odrąbać kadtub czerwony nowego żołdat
inconnu

Warszawo! świat niepokalany i z ran przemyty
ty otworzysz!

SAN DOMINGO

Notatki historyczne

„Stan wojskowy jest najszanowniejszy, kiedy żołnierz przelewa swą krew za ojczyznę, tenże żołnierz staje się najemnikiem, skoro nim inne powodują widoki... Gdyby pokój powszechny nie miał zmienić losu Polski, jakie prawo miałbym szafować krwią spółziomków moich w sprawie, która nie byłaby sprawą ich ojczyzny? Zaiste słusznie bym wtedy zasłużył na nazwę najemnika“.

Tymi słowy zwracał się Książewicz, dowódca drugiej polskiej Legii, zwanej Naddunajską, w grudniu 1800 roku do swego zwierzchnika, gen. Moreau. Niepokój miotał sercem polskiego wodza. Na skutek rozejmu, zawartego między Francją i Austrią, wojska polskie znajdujące się pod Wiedniem, o sześćdziesiąt mil od granicy ojczyzny, otrzymały rozkaz wycofania się. Okazało się, iż ta droga nie prowadziła „z ziemi włoskiej do polskiej.“ Co gorsza w nowym układzie stosunków, gdy Napoleon zawierał już pokój z Habsburgiem, a zabiegał o zgodę z Rosją, legie polskie — rozumieli to obaj ich dowódcy, Dąbrowski i Książewicz — stawały się dla Francji wielkim politycznym ciężarem. Karta polska na lat kilka została wycofana z gry dyplomatycznej i wojennej, a fakt ten odbił się boleśnie na losach żołnierza Legionów.

Ciężka droga Legii Naddunajskiej prowadzi pod zbrojną eskortą oddziałów francuskich z powrotem do Italii, gdzie czeka ją wraz z towarzyszami broni wiele upokorzeń. Książewicz podaje się do dymisji. Uparty i wytrwały Dąbrowski zostaje usunięty. Żołnierze polscy są oddani na służbę królowi Etrurii, a wreszcie rozbici na formacje republiki cisalpińskiej i na oddziały francuskie. Pod wpływem tych szykan, braku zaopatrzenia i utraty widoków na realizację celów politycznych, leżących w założeniu Legionów, coraz bardziej wzmaga się w szeregach dezercja, wielu oficerów popełnia samobójstwo, żołnierze w Mediolanie reagują zwykłym buntem. Powstają szaleńcze i fantastyczne projekty wypowiedzenia posłuszeństwa Napoleonowi i osiedlenia się na jednej z wysp Jońskich. To wszystko nie przyczynia się oczywiście do poprawy sytuacji. Przeciwnie, skłania władze francuskie do tym energiczniejszego i szybszego rozbicia jedności Legionów, a wreszcie do wysłania na fatalną, zamorską wyprawę.

Symboliczny i faktyczny kres swego istnienia znajdują te bohaterские wojska polskie na San Domingo. Pisze o tym w swym pamiętniku Kosiński, uczestnik owych spraw: „Bonaparte, sądząc Kościuszkę stroniakiem jakobinów, tak przeciwnych nowemu układowi rządu, lękał się jego wpływu na Polaków, a nie chcąc ich korpusa rozpuścić dla niezasilenia armii postronnych mocarstw znaczną liczbą oficerów uformowanych doświadczeniem i oswojonych ze zwycięstwami, umyślił wysłaniem ich do Ameryki pozabawić tę partią wszelkiej wsparcia nadziei“.

Historycy nie są między sobą zgodni, czy istotnie Polacy mogli się wydać Napoleonowi aż tak niebezpieczni w okresie utrwalania przezeń dyktando we Francji, czy też wysłanie Polaków za ocean było wypełnieniem tylko tajnych postanowień traktatów w Lunewille i Amiens, czy też dokonało się ono na skutek intryg Murata. Tak czy inaczej legioniści bić się mieli za sprawę, którą na św. Helenie sam Bonaparte nazwie „największym błędem, jaki popełnił.“ Askenazy broni Pierwszego Konsula przed zarzutem, jakoby wysłał Polaków świadomie na zabicie, jeśli na tę wyprawę wysłał również tysiące Francuzów, stawiając na ich czele swego szwagra Leclerca i swoją siostrę Paulinę. „Dość było grzechu — pisze Askenazy —

iz usuwając z Europy, oddalając od ojczyzny legionistów polskich, posyłając tych bojowników wolności na hój za niewolnictwo, narażał ich świadomie na śmierć duchową, zanim mimo woli przyprawi ich o śmierć fizyczną.“

Emigranci polscy nie przedstawiali żadnej siły politycznej, dzięki której oprzeć by się mogli rozkazom dowództwa francuskiego. Tylko bowiem silne i świadome kierownictwo polityczne ustrzec może siły narodu przed bezpłodnym i niepotrzebnym marnotrawstwem krwi. Toteż bez słowa protestu nad ranem w połowie maja 1802 roku pod groźbą armat i karabinów francuskich wsiadli w Livornie na okręty. Dwukrotnie jeszcze będą siły Legionów odhyczać tę samą morską drogę, by śpieszyć z pomocą skazanej na niepowodzenie kolonialnej wyprawie Francuzów. Walczącym o wolność Murzynom i mulatom przyjdzie z pomocą klimat i febra, które nie pozwolą na restytucję niewolnictwa, zniszczonego uchwałą rewolucyjnej Konstytuanty Paryskiej, uchwałą, która znalazła zaciekle wrogów wśród rojalistycznych plantatorów. W imię tej sprawy walczyli Polacy, z sześciu tysięcy ludzi ocalając trzystu oficerów i żołnierzy. Walka ta była tym tragiczniejsza, gdyż żołnierze mieli pełną świadomość niesłuszności sprawy, za którą kazano im umierać. Oblężony przez trzy tysiące Murzynów, pisał Jasiński do francuskiego generała: „Nie chcąc wpaść w ręce dziedziczącego ludu, walczącego za wolność swoją, życie sobie odbieram.“

To zrozumienie fałszywej roli Polaków na San Domingo było udziałem nie tylko ich samych, ale i przeciwników, z którymi walczyli. Murzyński generał tak przemawiał do wziętych w niewolę legionistów: „Biedni Polacy, Francuzi was uwiedli, kazali wam szukać ojczyzny waszej pod skwarą niebem, usługi wasze niewdzięcznością odpłacając. „Małachowski tak pisze o liście, który otrzymał od czarnego oficera: „Wolny Murzyn do wolnego polskiego narodu przemawiał.“

Historia nie odpłaciła się wdzięcznością za to poświęcenie Polaków, którzy na San Domingo stracili przeszło połowę stanu liczebnego Legionów. Thiers, oficjalny dziejopis Konsulatu i Cesarstwa, na przestrzeni wielu tomów swej historii nie znajdzie jednego słowa, by pokwitować męstwo i karność Polaków. Tyle z tej wyprawy zostało, że na Haiti do ostatnich czasów kilkadziesiąt rodzin nosi polskie nazwiska.

*

Analogie historyczne nie zawsze są słuszne i trafne. Muszą być przeprowadzane bardzo oględnie, albowiem sytuacje w dziejach nie powtarzają się nigdy z tymi samymi szczegółami. Kiedy porównywać będziemy ze sobą nie rekwiizyty historii, lecz jej treść, wnioski nasuną się same.

San Domingo, ów tragiczny epizod w życiu narodu, o którym tu wspomniamy, zwraca naszą uwagę nie ze względu na taki czy inny układ politycznych sił, ale z uwagi na tragedię Legionów. Powstały one na obczyźnie, gdyż twórcy ich ze słusznego wychodzili założenia, że jeśli na własnej ziemi nie można bić się o wolność, trzeba to czynić tam, gdzie jest do tego sposobność. Nie oni jednak o kierunku działań wojennych decydowali i dlatego w pewnym momencie znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, czego rezultatem stała się nieszczęsna wyprawa na Haiti.

Tragedia ta nie była zawiniona ani przez Dąbrowskiego, ani przez innych legionowych generałów. Wykorzystali oni wszystkie możliwości „wybicia się na niepo-

dległość" i nie ich było winą, iż rozwój sytuacji między-
narodowej spowodował, że żołnierze znaleźli się nie nad
Wisłą, lecz na San Domingo.

Z tego przykładu nauka, ile niebezpieczeństw kryje
się w sytuacji, gdy walcząc, nie mamy istotnego wpływu
na kierunek działań. Legiony mogły wrócić do kraju tylko
zbrojnie, tylko wspólnie z Napoleonem i z Francuzami. Dziś
— gdy chcemy przeprowadzać analogię — kraj czeka na
swoją armię z zachodu i na swoich obywateli, zagnanych
tam przez burzę wojny. I oto znajdują się tacy, którzy gło-
szą hasła niepowrotu, obrażenia się na Polskę, pozos-
tania w obcych krajach.

Propaganda ta nie może, rzecz prosta, zatoczyć zbyt
szerokich kręgów. Nie od rzeczy jednak przypomnieć dziś

właśnie San Domingo — symbol losu garstki wygnańców
i żołnierzy, którzy nie mieli oparcia w swym państwie, bo
ono wówczas nie istniało. Taka sytuacja prowadzi zawsze
do tragedii, do wynaturzenia celów, którym powinno się
służyć. Tragedia tamtych legionistów była ta wielka jak
ich tęsknota. Pisał o niej Godebski w liście do wspomnia-
nego już tu Kosińskiego z Poznania 11-go grudnia
1802 roku:

„Warszawa jest i będzie miastem Polaków; wierny
muzułmanin dąży o mil kilkaset do Medyny i Mekki, a
szczęśliwy, kiedy mieszkać może przy grobie proroka; nie
znajdzie się w Polaku wyższe natchnienie do odwiedzenia
Warszawy.“

TADEUSZ HOŁUJ

WIEM, ZDECHNAĆ MOGĘ...

Wiem, zdechnąć mogę i za nóżki
powloką trupka do pioniczki,
w papier otulą, na wóz wrzucą
paczuszkę lat w ciało zawitych.
Szkoda by było tylko pory,
kiedy ostatnia gorze bitwa,
jesliby odejść — ot tak — chorym,
i już nie wracać i nie witać.

W plusze przedwiośnia szumi niebo,
a cichnie ziemia, głodna ziemia.
Szkoda, że właśnie teraz trzeba
pasiak więzienny w proch przemieniać,
gdy ciągnie zieleń żywa wierzbini,
płyną obłokiem wiatr i wrony,
a nocką, krągły miedziak — księżyc
placi upiorne sny więzionych.

Niedługo ruszy lawą trawa,
kolumny choin, gniazda jaskrów,
wyszczerzą paki drzew i sprawa
potoczy się w strumieniach brzasku.
Gdzież w tej potrzebie stuknąć głową
w cegłę trupiarni, stać się prochem,
gdy świat się czai, świat gotowy
runąć i na nas krwawym skokiem.

A jeśli jednak, zanim zgaśnie
ostatni dom płonący wojną,
zgasnę ja tutaj, tutaj właśnie,
gdzie śmiercią, niby wódką poją —
zostanie ze mnie to — com czynił.
Wystarczy. Za lat tyle lutyh,
za młodość-szczęśliwą, za zgon innych,
za cały wielki ból i smutek.

Gdzieś się po świecie miła tula,
córeczka rośnie obcą dziewczką —
powiedźcie im, że głupio umarł
śmiercią obozu, litomierzyczką.

Lecz towarzyszą mi nie mówcie,
oni odgadną, gdy nie będę,
skoro dla żywych czynić poczną
gromadną znowę swą, legendę.
Wiem, że gdy wiosną wstaną w pochód
i pieśnią wielką pierś im wzbierze
ja będę z nimi. Wstanę z prochu,
znowu wsunąwszy spluwę w kieszeń,
szedł będę w miasta gluche, we wsie
i wiecznie młodą gadał mową:
„wasza jest wolność i chleb — bierzcie,
za naszą, padłych o to, zgodą“.

A miła moja — pewno wiosną
powie córusi, słuchaj, przedtem...
Nie. Poprzez śmierć już nie wyrosną
wzruszenia, żywym tchnące sercem.

Przyjaciół nie mam, chmurny żywot,
w ciężkim milczeniu ja sam niosłem,
a teraz woła we mnie: przybądź
najmilsza moja, w to przedwiośnie,
zbliż się ku oczom i nie odchodź,
być może pójdę w śmierć. Piechotka.
I będzie śmiesznie, bardzo śmiesznie,
żem cię przywołał głupim wierszem.
Choć wolam teraz wszystkie lata
i strumień wspomnień burzy się we mnie
Doby przeżyte — ogromny wiatrak
miele czy gorzkie, czy przyjemne.

Wartalo żyć. I warto przestać,
lecz skuczy nędzne serce: zostań.
Czeka nas ludzi żywych rzesza
i piechotka — psiakrew — ludzka wiosna.

Obóz flossenburski - Litomierzycy
Epidemia tyfusu, marzec 1945 r.

I.

Odłożywszy zawiniątko na próg, aby swobodnie móc poruszać rękoma, krawiec Jakub Kagan zamknął drzwi mieszkania na klódkę, po czym skierował się do swego sąsiada, szewca Pfeniga. — Dzień dobry wam — rzekł wchodząc do małej izdebki, która służyła za warsztat pracy, kuchnię i miejsce spania. — Dzień dobry, widzę, że w drogę? — Szewc wstrzymał młotek żeby nie głużyć słów. — W drogę — potwierdził krawiec. — Siędem lat w moim wieku, to kawał życia. Chcę go jeszcze zobaczyć. — Szewc Pfenig wiedział, o kim mowa. — Miriam — zwrócił się krawiec do niedużej dziewczynki, która stała przy kuchni — wyjeżdżam i klucz oddaję w twoje ręce. Zostawiam ci parę groszy na mleko dla kotki. Zajrzyj do niej, będzie jej smutno bez ludzi. Nie proszę, żebyś ją wzięła do siebie, bo się boję, że myszy za bardzo się rozzuchwałą. — Wszystko będzie w porządku — odparła dziewczynka. — Nie myślcie o domu, załatwcie to co macie załatwić i wracajcie zdrówi. — Po chwili dodała: — Sprowadźcie waszego syna Zachariasza. Ciekawam, czy go poznam? Nosił mnie na rękach, wiem. Powiedzcie mu, że wszyscy czekamy na niego. — Dobrego... — rzekł Jakub Kagan i wyciągnął rękę do szewca. — Dobrego... — odparł szewc. Nie lubił, czy też nie umiał mówić. W mieście nazywano go Milczkiem. — Dobrego... — wtrąciła dziewczynka. Była blada i miała duże zielone oczy, które wprawiały w zdumienie. Duże zielone oczy spotyka się rzadko.

Mogła być godzina szósta po południu. Upał stawał się słabszy. Krawiec Kagan minął domek i czarne zatłuszczone podwórze, zastawione beczkami z naftą. Domek, podwórze i beczki należały do pani Kotowskiej, samotnej kobiety i wielkiej bogaczki. Domek był lichy, przydatny raczej dla beczek z naftą, ale krawiec Kagan i szewc Pfenig nie mieli wielkich wymagań. Garbaty Wiktor, subiekt Kotowskiej, przerwał na chwilę pracę i ze zdziwieniem obejrzał starego krawca, który go szybko minął i przez najmniej uczęszczane uliczki skierował się na dworzec.

Jakub Kagan wyglądał dziś odświętnie. Zbyt odświętnie, co jakoś nie odpowiadało jego drobnej, szarej, zapracowanej twarzy, zakończonej spiczastą, siwą już bródką. Miał na sobie czarny chałat, okrągły, aksamitny kapelusz, sztyblety — wszystko wyjęte z szabasowej szafy. W miejscowości, gdzie nie znają Żydów, powiedziano by, że przypomina księdza. W zawiniątko, gdzie miał zmianę bielizny, bochenek chleba i paperek z odrobiną soli, wetknął kij i przerzucił go przez ramię na modłę chłopów.

Wyjeżdżał do syna.

Coraz częściej w ostatnich latach zatrzymywał pedały maszyny, zwalniał ręką kółko i zapadał w ciężką zadumę. „Jestem sam — mówił do siebie — sam jak kamień. Samotność odbiera mi ochotę do życia i do pracy”. Po śmierci małżonki ludzie radzili mu ożenić się po raz drugi. „Jak to, Żyd bez żony? Dom bez Żydówki?”. Żyd bez żony był jak człowiek bez ręki, dom bez Żydówki, jak wóz bez kół. Ale Jakub Kagan przywiązany był do swego syna Zachariasza, którego z powodu ogromnego wzrostu nazywano Koniem. Ojciec był drobny, jak mało rozwinięte dziecko, syn zaś ogromny. Miał bary jak atleta, ręce jak tragarz, włosy jak dziewczy-

na, oczy jak dziecko, wyglądał niby olbrzym, o którym się mówi, że przypomina dziecko. Łagodny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Jakub kochał swego syna i powtarzał sobie: „Nie, nie dam mu macochy”. Swat przychodził co kilka dni oglądać upartego, głupiego Żyda, któremu nie wolno nawet żyć bez kobiety. Bo jak to? Od czego są kobiety? Przychodził i odchodził z niczym. Ojciec i syn siedzieli naprzeciw siebie. Syn śpiewał, ojciec myślał: „Koń mój śpiewa jak ptak...”. Puścił go od siebie, gdyż nie było wtedy innej rady. Miał sznur na szyi. Jakub Kagan pod wieczór rzucał maszynę i biegł modlić się wraz z innymi krawcami. — Ojciec — powiedział Zachariasz pewnego dnia — pchasz się do Pana Boga, a w świecie już dawno udowodniono, że nie ma Boga. — Nic na to nie odrzekł, milczał przez cały dzień. Po śmierci matki Zachariasz spał w jej łóżku. Jakub Kagan leżał i milczał, przewracał się z boku na bok, czasami głęboko westchnął, ale nie mówił nic. Wreszcie nie wytrzymał i głuchym głosem powiedział: — Więc już tak daleko to u ciebie zaszło? — Czy chcesz żebyśm kłamał przed tobą? Jestem człowiekiem uświadomionym. — Człowiek uświadomiony, który ma osiemnaście lat... Czy uświadomiono cię w związku, mieszczącym się na tyłach piekarni Gąsiorowskiego? — Zachariaszu — krzyknął na syna — zaczynasz się więc mieszać? — Uniósł się na łóżku. — Ojciec — odpowiedział syn spokojnie, w każdej sytuacji umiał zachować spokój — jest to obowiązek każdego pracującego i czującego człowieka. Każda para rąk może się przydać w dziele przekształcenia świata. — Więc ty świat chcesz przekształcić? Zachariaszu, dziki Koniu! Masz parę rąk nie do przekształcenia świata, lecz do szycia spodni. Nie mieszaj się, pamiętaj, nie mieszaj się! Świat tego nie lubił — Nie wiem, czy nie jest za późno. Dawida zamknęli dziś po południu. — Jakub Kagan przeraził się nie na żarty: — Dawida, twego przyjaciela? — Zerwał się z łóżka, przeszedł kilka razy po izbie, naraz powziął decyzję. — Posłuchaj, wyjedź do Warszawy. Przy ulicy Nowolipki mam znajomego, Zelmanowicza, krawca tak jak my. Napiszę do niego, zaopiekuje się tobą. Nie jesteś zresztą dzieckiem i na chleb sam sobie zapracujesz. Gdy się uspokoi, wrócisz...

Zachariasz wyjechał. Tak, Jakub Kagan ocenił swoją decyzję jako prawdziwie obłąkaną. Bo co też uczynił najlepszego? Wysłał go do Warszawy, gdzie wszyscy krawcy są czerwoni. Nim to pojął, było już za późno.

Syn zamieszkał u Zelmanowiczów, pracował razem z nimi, przyjaźnił się z Rubinem Zelmanowiczem, który był od niego starszy. Z listów Jakub Kagan wynioskował, że Koń nie tylko nie porzucił niebezpiecznych myśli o „wywróceniu świata”, przeciwnie, grzął coraz bardziej. Jak to grzęźnięcie wyglądało? Jakub Kagan niebardzo rozumiał, ale mówił sobie: „zrobił się czerwony, komunizuje”. Zimno mu się robiło od tego cudziemskiego słowa, które, choć je wymawiał poprawnie, zawsze brzmiało dlań niezwykle.

Gromił syna jak tylko mógł. „Zachariaszu — pisał do niego — Koniu, który gnasz na oślep na swoją i moją zgubę. Skąd takie myśli u ciebie? Nie dawajcie — mówią mądrzy ludzie — nie dawajcie dzieciom ładnych zabawek, nie rozkapryszajcie ich, nie przyzwyczajajcie do zbyt wygodnego życia, gdyż tu tkwi źródło wszystkich nieszczęść. Przyzwyczajasz dziecko do łatwego ży-

cia, a dziecko twoje będzie zgubione. Bawiłeś się odpadkami materiałów, guzikami, sprzączkami, na czarnym chlebie się chowałeś, i skąd u ciebie takie myśli? Mówisz o Warszawie, która przy ulicy Ostrowskiej, Milej, Wołyńskiej jest jak tyłek — „tyłek miasta” — a zobacz no, ile tam żyje ludzi i jacy są szczęśliwi... Zachłanność, nienasyconie oka, oto główne nieszczęście was wszystkich. Nie chcecie poprzestać na małym, a to najgłębszy sens radości... Pozwoliłem ci za dużo książek czytać. Na sumienie, wolałbym już być wykształcić cię na doktora. Niepokoją mnie twoje słowa. Na sumienie, wolałbym, żebyś był doktorem... Szyj spodnie i wyprzęgaj. Nie dojedziesz, Koniu, i tak nie dojedziesz. Niech świat idzie swoją drogą, idź ty swoją.

„Koniu, Dawid jeszcze siedzi. Przed paru dniami zabrano Kleina, Wolfa... Byli u mnie, pytali o ciebie, szukają cię, mają cię na oku. Matki płaczą na ulicy Dąbrowskiej, ojcowie chodzą z opuszczonymi głowami i milczą. Do czego chcesz doprowadzić, Koniu? Czyś po to zmienił adres, aby zgubić mnie na odległość? Nie twoją rzeczą mieszać się. Niech świat złamie nogi, ty się nie mieszaj...”

Na ten list Zachariasz odpisał:

„Ojcie, nie tylko na ulicy Dąbrowskiej płaczą matki. Płaczą na Nowolipkach, i na Woli, i na Dzikiej. Wszędzie płaczą matki i milczą stroskani ojcowie. Więc co z tego? Im głębszy płacz, tym jaśniejsza potem radość...”

Okolo roku trwała wymiana listów. Jakub Kagan pamiętał dobrze ten dzień: był piątek, śnieżycy, wichura, ludzie na ulicach wyglądali, jak poruszające się śnieżne pagórki. Trzeba było odłożyć robotę, pójść do sklepiku po cukier, świece, potem po węgiel do komórki. Klął. Nie, naprawdę życie było mu niemiłe... Kupować, gotować, myć naczynia po sobie, palić w piecu, wybierać popiół, szorować podłogę, naprawdę: człowiek bez ręki... Oby już — powtarzał sobie — Zachariasz wrócił. Ożeni się i może by razem?... No, zobaczymy, w każdym razie skończy się kucharzowanie... Przystawia obiad, zabiera się znów do pracy, śnieżycy wali i wali, nie, dziś już nikt nie przyjdzie do niego. Naraz drzwi otwierają się z trzaskiem, wchodzi listonosz. Pismo jakiegoś obce. Nie podobał mu się ten list. Rubin Zelmanowicz donosił mu o aresztowaniu syna.

Kraty?

Nie tylko Zachariasza dzieliły one od świata. Krawiec Kagan mógł teraz stwierdzić, że wrosły one głęboko również w jego życie. Los syna rzucał mocny refleks na życie ojca. Nie czuł już, jak dawniej, związku z bóżniczką i jej wyznawcami. Nowe wypadki kazały mu mieć oczy otwarte na sprawy, które dotychczas omijał. Już one nie toczyły się za siódmą górą, jego — Jakuba Kagana — nie obejmując. Przeciwnie, miał w nich udział, brał w nich gorący udział przez swą najlepszą część, przez syna. Był teraz jeszcze samotniejszy niż dawniej. Lecz im bardziej rosła samotność, tym silniej zaczął go interesować daleki do niedawna świat, dalecy ludzie, odległe zdarzenia...

Cierpiał jak ojciec, jak cierpieć może tylko ktoś związany węzłami najbliższego pokrewieństwa. Słyszał, że biją w więzieniu, modlił się więc żarliwie, by syna oszczędzili. Jak każdy ojciec, pamiętający wątłe ciało dziecka, nie wierzył w zdrowie syna. Myślał o nim jako „o kruchym glinianym garnku”. Ileż razy odsuwał kęs chleba od ust, uprzytomniwszy sobie, że jego jedyny może głód cierpi. Doszło do jego uszu, że Zachariasz przeleżał trzy miesiące w karcerze, gdyż nie chciał wio-

żyć odzieży więziennej. Przez tydzień czasu stary krawiec kładł się na gołej podłodze. Tylko kotka spacerująca po nim, jak po martwej rzeczy, była świadkiem jego gorzkich łez.

Bał się podnieść oczu, gdy po raz pierwszy — przez kraty — uzyskał widzenie. Strażnik siedział tuż — tuż. Nie widział strażnika i nie widział syna. Spoglądał na guzik jego odzieży: — Zacharie! — mówił zdrobniałe, tak, jak mówił w dzieciństwie — Zacharie!... — Szloch rozsadzał mu piersi, ale się trzymał. — Dzień dobry ojcie, cieszę się, żeś przyszedł — odpowiedział syn takim głosem jak gdyby przyjechał jako wolny człowiek do domu. Tak powiedział. Ale ojciec był starym człowiekiem i znał duszę słów. — Dziecko moje, czego ci brak? — zapytał. — Nie wszystko czego mi brak, wolno mi podać, ale nie zapomnij o paleniu. — Dziecko, co jeszcze? Co jeszcze? — Podniósł oczy. — Spokoju, ojcie. — No, spójrz, oto jestem już całkiem spokojny. — Wtedy dopiero rozplakał się.

Potem już nie płakał. Co pewien czas jeździł do więzienia. Sposobił się do tych odwiedzin, jak wierzący do modlitwy. Jeździł oglądać swego wielkiego syna. Mówił do niego: — Już o miesiąc mniej. — Widzisz ojcie — odpowiadał syn. — Pięć lat, to przecież nie całe życie...

W niedługim czasie po zwolnieniu Zachariasz przysłał list z Warszawy. Krawiec siedział nad odpowiedzią głęboko zadumany. Miał rozpocząć od żądania natychmiastowego powrotu do domu. Lecz oto coraz żywiej uprzytomniał sobie, że ten powrót nie będzie łatwy. Syn jego wstąpił na drogę, której nie da się opuścić. Dom w szopie Kotowskiej już nie mógł być jego domem. Potrzebny był mu nowy dom.

Dom! Jakub Kagan pojmował coraz wyraźniej, że ludzie póty mogą żyć spokojnie, póki dom ich jest domem, przystanią, miejscem spokoju. On — Kagan — coraz gorzej czuł się w swych kłitkach, jego myśli już nie mieściły się w nich, wybiegały daleko. Już nie mógł sobie powiedzieć: tu żyję, tu umrę. Przeciwnie, nie chciał tu żyć i nie chciał tu umrzeć. Gdy pewnego dnia otrzymał wiadomość o śmierci starego Zelmanowicza, ogarnęła go taka tęsknota, że postanowił rzucić wszystko i jechać do Warszawy. — Zobaczę go i wrócę — mówił sobie, zatajając w głębi drżącą nadzieję, że może uda im się urządzić razem...

Noc, właściwa noc w czerwcu trwa krótko, ale jazda trwała długo. W przedziale z początku było tłoczno, potem opustoszało, a jeszcze później znów się zapełniło. Stary Kagan zasypiał od czasu do czasu, a gdy się budził, minuty wydawały mu się godzinami. Ciężkie sny trapiły go podczas tych krótkich drzemek, sny, które rozwiewały się w ogniu marzeń o dużym synie z jasnymi, dobrymi oczami.

O godzinie siódmej przyjechał pociąg. Poranek leżał na polach od wielu godzin, ale w Warszawie był on tak świeży, jak gdyby liczył wszystkiego kilka minut. Śródmieście wyglądało jak opuszczony przez tłum gości dom, który zaczynają doprowadzać do porządku. Gdzieś-niegdzie widać było postacie stróżów w mundurach z latarkami elektrycznymi, zawieszonymi na piersiach, w płaszczach zapiętych pod szyję, chłód nocy, rzekłbyś, młeli jeszcze w kościach. Tu i ówdzie, w przewiewnych sukienkach, szły dziewczęta uliczne ze śladami zmęczenia na twarzy. Stróże polewali chodniki.

— Warszawa... — szepnął krawiec Kagan do siebie. — Więc to jest Warszawa? A gdzie leży ulica Żelazna? — Ulica, o którą zanudzał pytaniami podróżnych na wiele godzin przed dojazdem do celu. Ulica, gdzie mieszkał jego syn. — Czy daleka od ulicy Nowolipki?

Mieszkanie Zelmanowicza przy ulicy Nowolipki mieściło się na czwartym piętrze, dwa nieduże pokoiki i kuchnia były umeblowane z tą troskliwością, jaką wykazują biedni ludzie w okresie, gdy im się zaczyna jako tako powodzić. Kosztem wyrzeczeń nabywają „garnitur” tanich lecz efektownych mebli: olbrzymią szafę, dwa łóżka, dwie szafki nocne, stół. Dobre czasy mijają, a meble zostają. Wymienione właśnie meble z drzewa sosnowego zajmowały ostatni pokój, gdzie stał teraz Jakub Kagan. Wpatrywał się płonącymi, przestraszonymi oczami w Rubina Zelmanowicza i powtarzał, bez przerwy:

— Czy człowiek to szpilka? Czy jest wielkości szpilki, aby się zagubić i nie wiadomo było gdzie, co i jak? Czy jest jak szpilka? Czemu nie spojrzycie mi w oczy?

Rubin, trzydziestoletni, o chudej i podługiej twarzy, gorących i pełnych współczucia oczach, tylko raz jeden spojrzał na Kagana, gdy ten wszedł do pokoju. Serce w nim zamarło. Miał głowę obwiązaną bandażem. Ten bandaż mocno niepokoił przyjeźdnego. Kilka razy chciał już pytać o przyczynę. Ale nie pytał, sam nie wiedząc dlaczego.

— To się przecież w głowie nie mieści. — Kagan przyłożył palec do skroni. — Człowiek ginie jak szpilka. Wychodzi z pokoju, zostawia wszystko tak, jakby miał powrócić za pięć minut, uśmiecha się do gospodyni, prosi o kupno cukru i chleba, książkę zostawia na stole otwartą, list w połowie zaczytany, koszulę na poręczu krzesła, wychodzi, mówi do widzenia i nikt nie wie ani co, ani jak? To się przecież w głowie nie mieści. Dwanaście dni bez znaku życia... Gdzież go szukać? Może wyjechał? Ale o wyjazdach zwykle uprzedzał. Może przeniósł się do kogo innego? Czemu milczycie? Czemu dajecie mówić mnie zamiast mówić samemu? Czy ja coś wiem o was?... Mój syn, ale czy ja go znam?... Ja przecież nic nie wiem...

— Nie wiem — odparł jakby pod przymusem Rubin. Stał w oknie, spoglądał na dachy domów. Bał się wzroku starego ojca. — Nie wiem... Jeszcze nic nie wiem.

— Czy Zachariasz miał tu kogoś? Kobiety?

— Nie, Zachariasz nie znał kobiet.

Nastąpiło milczenie. Krawiec Kagan przemierzał pokój małymi krokami. Kilka razy wyrzucał głowę w górę, jakby o coś bardzo ważnego chciał zapytać ale rychło głowę opuszczał i chodził znów po pokoju.

— Jesteście ciągle przyjaciółmi.

— Tak.

— Więc skoro tak, powiedzcie, poradzcie, co zrobić? Gdzie szukać w tym kotł? Na ziemi, pod ziemią, gdzie?... Prześcieście wyglądać oknem...

Rubin oderwał wzrok od dachów, spojrzał na pokój, na uschnięty oleander, ale nie widział ani pokoju, ani rośliny, ani człowieka. Rzekł:

— I my go szukamy. Wszędzie, gdzie tylko istnieje cień nadziei...

Znów zaległo milczenie. Kagan usiadł przy stole, oparł głowę o dłoń i zamyslił się. Rubin obrzucił go teraz uważnym spojrzeniem: — Jest tak drobny, jak on to wszystko wytrzyma?

— Czy zdarzyło się kiedyś — odezwał się Kagan patrząc na bandaż — czy zdarzyło się kiedyś, że zniknął na jakiś czas?

Rubin kiwnął potwierdzająco głową, ale natychmiast zaprzeczył:

— Nie, nie zdarzyło się... Nie pamiętam...

— A może go znów zamknęli? Takiego, co raz siedział, policja nie wypuszcza z rąk, tak mówią...

— Nie, nie siedzi — rzekł cicho Rubin.

— Więc i nie znikł i nie siedzi, więc co?

Rubin opuścił głowę.

Kagan przyskoczył do niego:

— Przecież wy wszystko wiecie!... Czemu uparliście się milczeć? Ojcu trzeba powiedzieć... Ojciec powinien wiedzieć.

— Ja... ja nie wiem — odparł Rubin jak mały chłopiec. — My nic nie wiemy... Trzeba odczekać.

— Dałem wam żywego człowieka, jedyne go syna i coście z nim zrobili?

— Nie my... Trzeba odczekać... Już niedługo...

— Kto to jest Stefan? — zapytał nagle Kagan.

— Stefan? — Rubin drgnął. — Kto wam mówił o Stefanie?

— Gospodyni z Żelaznej mówiła, to ma być jego przyjaciel.

— Tak, przyjaciel — Rubin patrzył teraz prosto w oczy starego krawca. — O nim... jeszcze kilka dni... tylko kilka dni...

Krawiec Kagan spoglądał na pobludną twarz przyjaciela swego syna i rzekł:

— Ja już widzę, że nie ma na co czekać... Zajeżdźcie liście mojego biednego Konia...

III.

Dzień był upalny, miasto rozgrzane jak piec, ludzie tonęli w potach, uciekali ze słonecznej strony ulicy w cień, marzyli o trawie, o wodzie i — podobnie jak w miesiącu lutym, podczas trzaskającego mrozu — marzyli o domie, dam nabrali właściwego sensu. Tak, wszyscy chcieli się pochować, skryć przed słońcem, ale Rubina przerażała myśl o powrocie do mieszkania. Nie pracował, w zawodzie krawieckim czerwiec jest złym miesiącem. Matkę z młodszym bratem wysłał do jednego z lotnisk podwarszawskich, w mieszkaniu czekał Jakub Kagan, którego zatrzymał u siebie. Już trzy dni minęło od jego przyjazdu. Nie, Kagan nie ufał mu. Spoglądał z nieufnością i powtarzał: „Wy wiecie wszystko...”. Dziwne było, że nie nalegał, że chciał czekać. Tak, ale pewnego razu stanął przed nim i krzyknął mu w nos: „Powiedzcie mi wszystko, wszystko! Nie chcę dłużej czekać...”. Jednak zaraz potem dał spokój.

Rubinowi dał spokój, a sam biegał po mieście radzić się ludzi. Wraciał zziębnięty, żółty, wymizerowany, z rozmaitymi pomysłami: „Trzeba dać ogłoszenie do pism, ogłoszenie do kin i na policję...”. Biegał jak błądzący po rozgotowanym z żaru mieście, kołował po nieznanym ulicach, wracał z tymi pomysłami po to, by ich zaniechać, nie na skutek sprzeciwu, ale patrząc na Rubina, sam jak gdyby przestawał wierzyć w ich skuteczność. Nic prawie nie jadał całymi dniami, chodził wpatrując się w domy, w bruk. Rubin przyglądał się temu szamotaniu ojcowskiemu ze ściśniętym sercem. Tak, wiedział znacznie więcej.

Wszedł do mieszkania. Od trzech dni Jakub Kagan miał w oczach to samo pytanie. Rubin bał się tego pytającego wzroku. Trwało dłuższą chwilę, nim się odważył zacząć. Mówił głosem cichym, lecz spokojnym.

— Pytaliście o Stefana... Stefan był jednym z pierwszych w naszym ruchu. Miał wszelkie dane po temu, aby stanąć na czele i odegrać ważną rolę. Po wyjściu z więzienia Zachariasz tylko na krótko wrócił do maszyny, potem zetknął się ze Stefanem, który zatrzymał go przy sobie i posługiwał się nim w wielu ważnych sprawach. Zatrzymał i zachwyił. Zachariasz zbliżył się do kogoś, co ucieleśniał ideę. Dla czystych serc świętem jest ujrzenie wiary serca przyobleczoną w ciało

i krew. Dla ludzi małego serca niemożliwością jest uwierzyć w przewagę człowieka o oczach i nosie niczym nie różniących się od innych. Czasami wydaje się brakiem to zakonspirowanie natury w swych wzlatach. Zachariasz miał czyste serce...

Jakub Kagan słuchał z szeroko rozwartymi oczyma, jakby nic nie rozumiał.

— Zachariasz kochał Stefana tak, jak kocha się człowieka, który daje i uczy wiele. Kochał jego uśmiech, sposób mówienia, chodzenia, fala ciepła zalewała mu piersi, ilekroć wspominał jego słowa. Gdy przechodzili ulicą, chwycił go za rękę jak matka swe małe. Rad był zatrzymać ruch uliczny — z szacunku, z miłości... Chcę wam powiedzieć, że w swoim trudnym życiu był Zachariasz szczęśliwy...

— Był? — Jakub Kagan zatrzęsł się. Wczepił się w mówiącego rękoma i zbliżył wycieńczoną twarz do jego twarzy.

— Jesteście ojcem Zachariasza Kagana, pięknego, dzielnego towarzysza. Nie będę przed wami nic ukrywał. Przed kilkunastu dniami wyszli razem — Stefan i Zachariasz. Szpicle zastrzelili ich obu. Ciała wrzucili do rzeki. Przed tygodniem woda wyrzuciła zwłoki Stefana. Pochowaliśmy je z należnym szacunkiem. Policja urządziła masakrę na cmentarzu, ślady mam jeszcze na głowie... Dziś otrzymałem wiadomość, że na ulicy W. leży Zachariasz... Czekać nas trudności... Bądźcie silni... Wasza obecność...

Rubin nie dokończył zdania. Twarz krawca Kagana zbladła gwałtownie, mała postać zachwiała się. Rubin schwycił ją wpół, jak kłodę niedużą, choć ciężką, pociągnął na łóżko i wybiegł po wodę. Gdy wrócił, okazała się ona zbyt ciężka. Krawiec Kagan miał otwarte oczy i patrzył uporczywie w jeden punkt podłogi. Skinięciem głowy odmówił napicia się. Po pewnej chwili zwilił ręce i natarł skronie. Wstał z łóżka i po raz pierwszy od piętnastu minut spojrzął na Rubina. — Chodźmy — powiedział.

Zar na ulicy nie zmniejszył się. Ubiór przechodniów był uszczuplony, rzadko który nosił marynarkę. Kagan w swym czarnym chałacie i szerokim aksamitnym kapeluszu — na dalekich ulicach — wyglądał jak groźny, nieznany stwór. Dawał się prowadzić Rubinowi, który milcząco trzymał go za rękę. Wsiadli do tramwaju i pojechali na ulicę W. Stróż pytał ich, w jakim celu przyszli. Rubin odpowiedział. Skierowano ich do sali, do której schodziło się w dół. Światło na tej sali było miękkie i łagodne jak w kościele, odór uderzał w nos i przesłaniał oczy mgłą.

IV.

Słońce nadal szalało, choć minęło południe. Jakub Kagan wszedł do gminy w celu załatwienia formalności związanych z pogrzebem syna. Rubin opuścił go przed domem.

Urzędnik, który zadawał mu pytania, był krótki i bezczulkowaty, o tłustej anemicznej twarzy, w której ginęły małe oczka. Miał jarmułkę na głowie i kamizelkę na koszuli. Był to może styl tutejszy, gdyż za drugim stołem, po lewej ręce Kagana siedział inny urzędnik ubrany podobnie. Był to zażywny Żyd o pełnych policzkach, tryskających zdrowiem; rumiane policzki przeświecały spoza rzadkiej czarnej brody jak wspaniałe jabłka. Żyd ten nazywał się Chaim Leser i był pierwszą osobą w sprawach cmentarnych. Nie interesował się z początku przybyłym, lecz w miarę rozwoju sprawy słuchał coraz uważniej. Wreszcie zabrał głos:

— Znaleziony na gliniankach?... I leży na ulicy W?... Znaczący się samobójca...

Kagan zwrócił się w stronę mówiącego:

— Coście rzekli?

— Znaczący się, na pewno — ciągnął urzędnik. — Stamtąd mieliśmy kilka dni temu człowieka... Przez niedopatrzność pozwoliłem go pochować w miejscu należącem się tym, którzy umierają w Bogu, a nie tym, którzy stają w poprzek woli bożej i kierują się własną, zarówno w życiu jak i w śmierci. Też samobójca...

— Samobójca, mówicie — głos Kagana miał kamienny spokój.

— Czy wiecie wy, kochany mój człowieku z prowincji, że zarówno jak tamten, syn wasz był komunistą? A tacy ludzie jak on zabijają się z ładą powodu. W Boga nie wierzą, co więc zdoła ich powstrzymać? Jesteście z małego miasta i nie znacie tych wilków... To chyba wiecie, że był komunistą?...

— Komunista... — głos Kagana miał ciągle to samo kamienne brzmienie. — Komunista, mówicie? — Kagan podszedł do stołu Chaima Lesera. — Dla was komunistą... Chcecie może posłuchać, jak życie to wyglądało? Po dwanaście godzin przy maszynie latem i zimą. Żarcie, które mu skąpa ręka biednego krawca podsuwała, jedna para spodni, ta co na tyłku i ani słowa skargi. Każda wolna chwila nad książką. Wracam raz w piątek wieczór, świece dawno pogasły, a on pod ledwo tłącą się lampą leży i czyta. Chleb i woda, praca i książka. I tak tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem u mnie. I nigdy słowa skargi. Wesół i rozśpiewany jak ptak na drzewie. Potem bieda w Warszawie. Potem pięć lat po różnych więzieniach, trzy miesiące na kamiennej podłodze polewanej wodą w karcerze. Dla siebie nigdy nic... Żadnej kobiety... Koń biedny Koń, który nie chciał się dać wyprząc przed metą... Tak wyglądało to życie. A śmierć? Może wam opisać, jak on tam teraz wygląda? Oczy wyjedzone przez ryby, włosy oderwane od czaszki, na rękach i nogach ślady szczerów... Na plecach ślady kul... Komunista...

— Wszystko jedno. Człowiek nie sobie zawdzięcza życie. — Chaim Leser mówił już z mniejszą pewnością siebie. — Nie ma też prawa skończyć, kiedy chce... Samobójca nie może mieć tych samych praw...

— To jest przecież kłamstwo! — krzyknął naraz Jakub Kagan. — Wierutne kłamstwo! I wy wiecie, że kłamstwo... Że go zabił! Podstępnie, nieludzko!... Kupili was. Już wam dali znać... Pogniewali się na was, rozżalili, więc mścicie się na najbezbronniejszych, najbiedniejszych, wy, przyjaciele wilków, wrogowie człowieka!... Boicie się scen na cmentarzu... Ale ja nie pozwolę zawstydzić tej młodej duszy. Czyż istnieć może większy wstyd niż ten, na który wy skazać chcecie jego i mnie?... I dlaczego?

Anemiczny urzędnik wybałuszył rybie oczy na miotającego się obok człowieka. Od czasu do czasu powtarzał:

— Sza, sza, sza.

V.

Siedział przed szpakowatym mężczyzną, ubranym nader starannie, o drewnianej twarzy. Dobrobył znać było na tej twarzy chronionej od spiekoty i zimna, od wzruszeń nadmiernych i bólu — na tym się Kagan znał. Siedział przed prezesem gminy. Pokój był obszerny, tonął w cieniu, za oknami rosły drzewa. Jakub Kagan teraz już nie miał spokoju w głosie:

— Jego jednego miałem. — Cierpienie i lęk przebiegały w tych słowach. — Nic mu za życia nie dałem. Teraz, gdy umarł, jakże mam pozwolić, aby mówiono o nim jako o samobójcy? Przecież to kłamstwo! Cały

świat wie, że to kłamstwo! Dlaczego każecie go chować nocą jak psa?

Prezes odpowiedział cicho, tak cicho, że Kagan musiał się nachylić:

— Chaim Leser powiedział wam, co się da zrobić i co zrobić należy.

— A wy? Czy również jesteście zdania, że moje dziecko powinienem pochować nocą bez ludzi i Boga? Jesteście głową gminy, ojcem trzystu tysięcy Żydów. Do kogoż mam pójść z krzywdą mego dziecka? Do kogoż mi pójść z moim zbolalym sercem? Ojciec gminy żydowskiej... Żydzi, Żydzi — nie przestajecie odmieniać tego słowa... Jestem tu, wasz brat i jakież wasza braterstwo?...

Prezes odpowiedział cicho, jak przedtem:

— Chaim Leser powiedział, żeście mu serce rozdarli... Nie pytajcie za dużo, tak być musi... Tak chcą siły, którym podlegamy... Wóz pojedzie w nocy. Wszystko będzie przygotowane. Chaim Leser dopilnuje, aby wszystko było w porządku... Na uniwersytetach endecy studentów wołają o trupy żydowskie... Oto wszystko co mogę wam powiedzieć... Trzeba chować. I szybko.

Jakub Kagan opuścił gminę. Szedł wzdłuż murów często gęsto zatrzymując się dla zaczerpnięcia tchu. Nigdy jeszcze nie czuł swej samotności tak silnie jak teraz. Był sam jeden w tym mieście. Czyż nie był gotów rzucić się do nóg, aby wyłagać — co? Ludzki pogrzeb. Ale miał przed sobą nie żywego człowieka, lecz mur.

Kraty?

Poczuł je oto znowu i tak mocno jak nigdy dotąd, white między jednym człowiekiem a drugim. Czuł je i widział obok niewysłowionej bezbronności własnej. Wszystko co chcieli, robili z nim. Był niby przywiązany do pala, wokół którego rozpalono stos. Jakub Kagan, biedny krawiec małomiasteczkowy, czuł te kraty, jak rzadko kto, ale nie miał nazwy dla nich, niby odkrywca, który w środku nowopoznanego ładu miota się w kleszczach nieznannej choroby.

Posuwał się ulicami w stronę Nowolipek. Od czasu do czasu chwytal wpatrzony weń czyjeś oczy, widział twarze, ale twarze te nie były twarzami ludzi, należały do rodzaju, z którym on, Jakub Kagan, nie czuł wspólności. Oparł się o drzwi jakiegoś małego sklepiku. Drobną kobietką, sprzedawczynią, podsunęła mu szklanę wody. — „Pijcie, pijcie. Boże, jakich się teraz ludzi widzi...”

Rubin wszedł do mieszkania. Blisko wejścia twarzą zwrócony do drzwi, na krawędzi krzesła, siedział ojciec Zachariasza. Robił wrażenie jakby spał. Ciężki był oddech tej drobnej i jakby przyczapionej postaci. Miał twarz zupełnie żółtą, głębokie oczodoły, wystające guzy policzkowe, wycieńczone, zapadłe, chude policzki — jedna jedyna iskra życia tkwiła w tym obliczu i ta za chwilę zdawało się zgaśnie. Rubin na palcach podszedł do łóżka i usiadł. Nie chciał mącić snu starego człowieka. Ale Kagan nie spał. Otworzył oczy i rzekł: — Każą chować w nocy...

VI.

Chaim Leser nie był przecież człowiekiem bez serca. Przysłał nawet samochód, który w warszawskim języku nazywał się autokarawanem. Przysłał wóz już po północy na cichą ulicę W., gdzie czekał krawiec Kagan. Z maszyny wysiadł szofer oraz jeszcze jeden człowiek z ryżą bródką o wyschniętej twarzy. Pachniał cmentarzem. — Komu tu oddać ostatnią posługę? — zapytał głośno. Wszedł, po chwili wrócił z szoferem.

Krawiec Kagan zamierzał pójść pieszo za synem.

gdyż tego zakon wymaga, ale człowiek z ryżą bródką spojrzal na niego z wyrzutem. — Autokarawan — rzekł — robi sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Teraz jest noc, ulice puste, pojedziemy na pełnym gazie. Usiądźcie z nami. — Wzięli go między siebie, pochwalili za to, że był drobny jak dziecko i niewiele miejsca zajmował. Włączyli motor, ciemno i cicho było na warszawskich ulicach, noc — po upalnym dniu — tonęła w gwiazdach. Pachniały lipy.

Dwóch grabarzy czekało. Blisko muru, aby nie było żadnych wątpliwości, przy świetle świec za szybkami latarni, wykopali grób. Wykopali i zasypali. Wykonawszy robotę, jeden z grabarzy, którego twarz tonęła w ciemnościach, oparłszy się o szpadeł, wyciągnął rękę po datek. Towarzysz, wyższy wzrostem, skarcił go na głos. — Od takich — rzekł — nie bierze się. — Powiedziawszy to, ruszył przed siebie. Drugi grabarz poszedł za nim. — Dlaczego — pytał — od takich nie? Wygląda jak rabin. — Żydzi z Galicji wszyscy wyglądają jak rabini — odparł wyższy.

Krawiec Kagan pozostał sam nad grobem syna. Widział w świetle świec jak zasypano zwłoki grudami wilgotnej ziemi, jak grób napelniał się, aż zrównał z ziemią. Krawiec Kagan miał oczy wyschnięte, do dna, gardło suche, jakby zalane smołą. Stał coraz mniej słyszający, coraz mniej widzący — uschnięty ludzki badył, głaz mchem okryty. Cisza panowała wokół, wśród kamieni i drzew, cisza była na niebie okrutnym w swej majestatyczności, szyderczym w pięknie, okrutnym szyderczym, zimnym jak królestwo z lodu. Cisza panowała nad miastem złożonym niemocą snu. Pojedynczy, jakby zabłąkany klakson samochodu, daleki zgrzyt wozu tramwajowego, docierały tu jako jedyne znaki życia. Cisza panowała na tej ziemi śmierci. W skamienieniu, bezczułości i niebycie trwał krawiec Kagan. Kiedy niekiedy budziło się w nim życie — w krótkim i urywanym, głuchym i zduszonym jęku. Była w tych jękach cała droga jego syna — Konia, który nie pozwolił się wyprząc. Były w tych jękach dobre słowa, nigdy nie powiedziane, nie oddane nigdy pieśczęty, gdyż biedni ludzie wstydzą się zarówno dobrych słów jak czułych pieśczęt — był żal i skarga z powodu krzywdy. Ta krzywda spalała drobne ciało, które, niby łachman, osunęło się na mogiłę jedyne. Gwiazdy na wschodzie poczynały blednąć.

Gdy gwiazdy znikły i eszalamiające piękne ognie zorzy zapłonęły na niebie, rój młodych ludzi znalazł się na świeżym grobie i ciasnym kołem otoczył zmęczonego cierpieniem. Było ich ze trzydziestu, a może więcej, nieśli narecza kwiatów, dużo kwiatów. Krzepkie ręce porwały ojca z wilgotnej mogiły, troskliwie i przyjaźnie rozcierały jego zmarznięte członki. Gorące młode głowy otoczyły głowę ojca, któremu oto znów wrócił dar widzenia, uszy krawca Kagana zaczynały znowu odbierać głos życia. Naokoło mówiono. Mówiono o krzywdzie, o niesprawiedliwości, o człowieku — ludzie oto znów mówili językiem ludzi. Wśród tych pięknych słów padało raz po raz imię Zachariasza. Potem wśród drzew i mogił pod niebem gorejącym ogniami zorzy porannej zabrzmiała pieśń. Krawiec Kagan nie znał jej, słyszał ją po raz pierwszy. Ale ten śpiew wrócił mu ostatecznie zdolność do wzruszeń. I dopiero teraz w takt tego śpiewu pod niebem płonącym w jednym miejscu, a jeszcze ciemnym w innym — ojciec Zachariasza, stary krawiec Kagan, zapłakał.

Jednakże żyła w tym płaczu nadzieja — nadzieja, którą przynosi miłość ludzi.

Lwów, styczeń 1941.

MARIA SZCZEPAŃSKA

ŚMIERĆ POETKI

Schody były ciemne. Szczegół ten zauważył Janusz przy wynajmowaniu mieszkania. Ciemność wydawała się bezpieczna. Na ciemnych schodach czuł, że może ukryć Felix jak w skorupce orzecha przed wścibskim wiewiórczym spojrzeniem bab kruchtowym. Wyciekały te wstrętne i kościste baby niechlujnie z małych drzwiczek i zakopcanych szkiełek na ganek kłębem porozwieszanych skarpetek, pękniętymi słoiczkami fermentujących wiśni czy starej oliwy, czy dekaktu z dziurawca, deszczykiem małych parasoli z sierści wielbłądziej, tymi lekko karbowanymi, owłosionymi listkami pelargonii. Za zaszłą zropiałym szklivem butelkowym, zagasła od brudu szybka zaiskrzył się drobniutki, cierpliwy mirt, i Janusz stwierdził, nie wiadomo po raz który, że Felix wcale nie pragnie wyjść za niego. Nie trudność przerobienia kennkarty odwołuje ją od zgody na zamiar, którego zresztą Janusz nie wyłożył nigdy jasno, bojąc się nie jej sprzeciwu, choć i ten byłby bolesny w sytuacji ogromnej bliskości jaka między nimi nastąpiła, ale wyzwania nieprzyjaznych sił, ciemniejszych od ciemności zalewającej schody, ciemniejszych od szarańczy i od jego myśli nocą. Wierząc, że jego milczenie może być mistyczną ochroną Felix, milczał. Ale gdyby Felix chciała, gdyby tylko trochę dała do poznania, że nie odmówi, gdyby tak opowiadając o małżeństwie przyjaciół, spozrzała na niego przeciągle spod tych za długich rzęs, gdyby uczyniła jakiś ruch, ustami czy nagłym umilknięciem, ruch tak znaczący, jakim kiedyś, przed laty, bywało niby nieumyślnie upuszczenie chusteczki, wszystko byłoby inaczej. Ale grodziła drogę szczerości ta piekielna, poetycka dama Felix, nieprzepuszczalna, całkowita, za którą zniknęła, jawiac się tylko niewyraźnie jak cień księżycy na firancie, jakby żyła w świecącej próżni, do której nie mógł się przedostać i w której Felix było źle samej i w której pisała swoje najpiękniejsze wiersze...

Starczy mrok osiadł na wyzłobionej od zużycia i starej od brudnych dotknięć lepkich rąk poręczy schodów, przypominającej dzieciństwo w omszałym walcym się domu, którego już pewnie nie ma, gdyż razem z dzieciństwem odplynął we wspomnienie na przezroczystym listku księżycy, jak na listku lunarii, odciętym od głębokich przeżyć chłopca blizną, czarnym cieniem kota Puciusia. Te schody są znajome, powrotne. Czasami Felix dotyka tej poręczy, ale bardzo rzadko. Dotyka dłonią w rękawicze i choć z lubością wciąga w nozdrza wilgotny, zielonawo fosforyzujący mrok, za szybką zatłoczoną flaszkami kolorowych mikstur i opuchniętą od kwiatów fuksją, widzi z rozwianym siwym włosem same drapieżne czarownice drażniące kota, dlatego schodzi lekko i cicho, niemal bez szelestu i stara się nie robić hałasu na schodach.

Po wielu poszukiwaniach wynalazł Janusz to mieszkanie u kuzynki, swojej dalekiej kuzynki. Przejrzał przedtem dziesiątki pokoi, zmęczył się na wielu kłatkach schodowych, zapamiętał mętnie wiele twarzy, ziewających się już teraz z sobą twarzy dozorców, służących, gospodyń. W szelzym miesiącu wydawało mu się, że ma już w ręku rzecz upragnioną. Na przedmieściu przetykanym wiejską zielenią owocową i warzywną, znalazł mroczną, izolowaną wyspę dużego pokoju. Trafiał tu z polecenia, z góry uprzedzony, że zalotna gospodyni zbyt zajęta jest sobą, by miała dość czasu na węszenie koło Felix, ucieszył się zielonym liściastym nieładem cze-

piającym się okien i usposobił go do wynajmu ten mrok dobroduszny, o którym Felix, mieszkająca dotąd w samych ciemnych ruderach, z szyderczym rozmarzeniem mówiła, że przyzwyczajają ją jak nietoperza powoli do ciemności grobu. Słowo grób było dla nich swojskie i znajome, jak uparty wierzyciel oczekiwało ich na zakrętach i od tego złego przypomnienia doczesności nie byli wolni ani we dnie ani w nocy. Lecz choć grób był niby gwiazda przewodnia finałem wszystkich przedsięwzięć Janusza, nie ostygła on i nie ustawał, niósł w sobie jasne przeświadczenia, których grób się nie imał. Cóż znaczyły pieniądze, jeśli chodziło o Felix, która nie rozumie pieniędzy, nie zdaje sobie z nich sprawy i w tych dniach potrzebuje ich nadmiernie. Pewną ręką dał zadatek, ale nie wynajął tego ciemnego, mieszczkańskiego pokoju z wysiedzianym fotelem z pomarańczowego pluszu. Musiał zwracać uwagę nie tylko na pokój i jego właścicielkę, ale na sąsiedztwo i ulicę. Musiał być teraz pełen wybrednych kaprysów, gdyż Felix mogło bronić tylko ich spełnienie.

Zadzwoił. — Dzwonek zaterkotał ostro głosem szpaka spłoszonego z czereśni. Po chwili ktoś zaszeleścił za drzwiami jakby ciągnął słomiankę i Janusz trochę przestraszył się myśli, że za chwilę zobaczy Felix. Drzwi odemknęły się niechętnie i badawczo, jeszcze łańcuch dzielił go od niej jak łańcuch nieprzebytych gór.

— Czego?!... Ach, to pan, nie poznałam, czego pan od razu nie mówi? — naburmuszone, zrzędne słowa rozgoryczonej, że znowu wpuszcza młodego człowieka do tamtej, leniwej, nic nie robiącej po całych dniach.

— Czy wstała dzisiaj? — zapytał po cichutku całując zwiędłą rękę kobiety.

Gospodyni kiwa zrzędnie głową, z udanym strapieniem:

— Nie, nie mogła się podnieść. Leży. Nic nie jadła od śniadania.

Znowu leży, ach, znowu leży, nurtuje coś w Januszu i urasta w przestkach, znowu nie wstała, choć tak ją prosił. Rośnie w nim gorycz na straszną chorobę tych czasów, która przykuwa Felix do poduszek, gdzie zresztą, ocienione pościelą, rodzą się jej najżarliwsze wiersze.

— Czy będzie można dostać później gorącej herbaty?... Teraz przyniosłem dobrą zupę...

Gospodyni cofnęła się do swojej nory. Janusz, lekimi krokami idąc, biegnie do Felix korytarzem, zakończonym białymi drzwiami. Śmiesznym trafem tylko te jedne drzwi są białe, jakby chciano odróżnić tu czymś Felix, wynagrodzić, że tuła się po takich wstrętnych domach, brzydkich jak deformacja bez talentu.

Jest nie sama. Głęboko wycięta nocna koszula odsłania smagłą skórę, aż za dużo tej skóry ciemnej, lśniącej. Nasuwającej malarskiej wyobraźni Janusza obraz pustyni i wielbłądzicy, wpartej kolanami w piasek, i wielu złotych kół bransolet na przegubach rąk i nóg. Jej powolne, ciepłe ruchy snują opowieść nie o ciele, ale tylko o jej ciele.

Przy stole, nie przy łóżku siedzi Stanisław przyjaciel w pracy i walce, zapatrzony w nieregularne źrenice Felix, która jedno oko ma czarne, a drugie brązowe, w oczy wróżki, nawiedzanej, oczy egejskie. Przywi-

tali się serdecznie. Stanisław widzi, jak dziewczyna wyciąga obie ręce z opadających rękawów koszuli i chwytając Janusza za ramiona niemo i żarliwie. Czarne, oleiste loki kręto rozbiegły się po szyi. Janusz nie ukrywa porwy, pocałował dziewczyną w skroń i zdławionym głosem mówi:

— Poczekaj, dam ci zaraz zupę. Przygotowałaś czysty talerz?

Felix kiwa głową, że tak. Nie chce się jej odpowiadać, dobrze jest nie musieć mówić, gdy rani do krwi i też ostry, kryształowy brzeg powstającego wiersza.

Janusz niezręcznie wyjął z teczki termos z grzybówką zupą, jest i zmieszany i trochę upojony jak mały chłopiec pierwszy raz karmiący swego własnego królika, a przecież od tyłu miesiący karmi Felix. Nalewając gorącą zupę znowy podlega Janusz uporczywej myśli, dlaczego Felix miała obce, przymrużone spojrzenie w zwilżonych opalizujących powiekach, a obejmujące go ręce drżały? W zazdrosnej myśli kryje się wiele pragnienia. Porywcze, ostre pragnienie pomimo wszystko, wbrew wszystkiemu i może dlatego, że Felix jest już taka a nie inna, nieszczerza, zdradziecka, jedyna? Zupa dymi, a Felix odwróciła się do ściany. Z łóżka zaparowało ciepłym, pieszczotliwym lenistwem. Mężczyźni przez chwilę nie patrzą sobie w oczy.

— Odwróć się — prosi Janusz — zjedz zupę. Matka przysłała ci kotlet z sałatką, czy zjesz zimne czy odgrzane?

— Och! — wstrząsnęła się Felix — nie chcę nic. Ciękawam jak długo można wytrzymać bez jedzenia. Chciałabym zasnąć i obudzić się już po wojnie. Mam dość wszystkiego...

Podbiła do góry koldrę i pokazała nogę gołą po kolan, złote bransolety, a Stanisław całuje, naprawdę całuje i pochylając się nad rozmarzoną twarzą dziewczyny całuje siebie, zwyczajnie, jej nabrzmiałe usta i grozi palcem:

— Ach, ty bezwstydnny bękarcie, ach ty bękarcie...

Z wybuchową, raptowną czułością powtórzył szczególną nazwę, która w jego ustach traci swój wulgarny sens, jest tylko słowem pieścioty. Felix przymknęła ucałowane wargi, zamyśliła się, a potem zaczęła jeść zupę, którą ją karmi łyżką po łyżce Janusz, cierpliwie jak stara piastunka. Przez zapach grzybków przebił się jej swoisty zapach dziewczyny która wierszem bez wstydu opowiada noc miłosną, zapach rozkwitłych, jeszcze nie otrzęsionych bazi wielkanočných. Tak, Felix pachnie jak kwiatowa sperma, potwierdził sobie Janusz i nieuważnie pożegnał Stanisława, choć ten zapewnia, że nowej kłiszy dostarczy jutro rano.

— Uważaj — napominała śmiejąc się Felix — to co on mówi jest pilniejsze niż paść mnie zupą, tym bardziej, że nie chcę mi się jeść.

— Nie chcę cię malować — powiedział Janusz zniechęta — bo mógłby ktoś u mnie znaleźć twój portret, nie chcę żeby ktokolwiek cię widział...

Dziewczyna wzdrgnęła się. Nie wolno jej zapomnieć jak niefortunny jest jej udział w losie, o którym daremnie stara się nie myśleć, lecz świadomość ta nie opuszcza jej jak ćmiący, to gasnący na chwilę ból zęba. Nie wolno jej wychodzić na ulicę. Zbyt widoczna przez swój wzrost i urodę „może zwabić amanta a co gorsza szpicla, naprowadzić na siebie nieszczęście”. Tylko czasem chodzi do Krystyny, od razu na dwa dni, goszczą ją tam i pieścą. Felix odbywa u niej swój wieczór autorski, Krystyna umie na pamięć jej wiersze, i wiersze Felix mają zbawienny wpływ kosmetyczny na

wygląd tamtej, gdyż pięknieje, mówiąc słowa bezwstydnne, gorzkie, złowieszcze, poetyckie.

Wieczorem, gdy ciemność czyni nierozpoznawalną jej twarz, Felix wraca do domu, do zakomspirowanego kąta, odurzona i rozstrojona powietrzem i złudną wolnością, której zakosztowała od dwóch dni: Chodziła do Krystyny, ale lęk związany z tymi wyprawami, kazał je ograniczać. Słuchając recytacji Krystyny, Felix nie pomyślała ani razu o drukowaniu swoich nowych wierszy wojennych. Nawet nie wie, gdzie się podziały jej dwa przedwojenne tomiki. Janusz pożyczył je komus, kogo później aresztowano. Podobno na stole, w podartych okładkach zostały zacytane książeczki jak zakurzona lampa Aladyna, lecz nie było sposobu dostania się do zapieczętowanego mieszkania i niedobrze tam było chodzić. Felix pisze wiersze na arkuszach, które jej przynosi Janusz i przestaje się nimi interesować po ostatecznym napisaniu.

Teraz je kotlet z sałatką — na głębokim talerzu przyniósł to wszystko Janusz, pokarm otulony papierową serwetką, w żółtej kopercie, jak ważny list z tamtego, żywego, zdrowszego świata, do tego świata, w którym chora traci siły. Jest na deser ciasteczko, którym poetka pozwala się karmić jak oswojone zwierzątko.

Janusz stanął przy oknie. Wokoło domu rozciągał się maleńki ogródek, schorzone, chude drzewka i krzaki, otoczone gęstym parkanem. Wyraźnie można dostrzec, że w pociępalym powietrzu krzaki spocily się i czuby gałęzi zbierają drobne kropelki zielonego, wiosennego potu.

— Felix, zanosi się na wiosnę. Dlaczego nie wstajesz, nic ci przecież nie jest? Całymi dniami wylegujesz się w łóżku, czy to jest życie?

— Nie, to nie jest życie — odpowiedział mu głos zageszczony wzruszeniem. — Naprawdę, to nie jest życie. Patrzysz na parkan, ale ulegasz złudzeniu, nic tam nie widzisz, ten parkan jest tu, w tym pokoju, odgradza mnie od świata, od ludzi żywych, nawet od okna. Do czego mam wstawać z łóżka? Czy ja żyję? Jeszcze żyję? Jeżeli żyję, to jest to bardzo dziwne. Mój Janku... Nawet ty nie dajesz mi nic do roboty i dlaczego ciągle zwlekasz z przyniesieniem powielacza? Powielacz nie obciąża mnie więcej. Janku! — wybuchnęła ostrym śmiechem — dwa razy się nie umiera, choć można umierać codziennie, po wiele razy, po wielekroć... — dodaje zamysłoną do siebie.

Janusz wyciągnął ręce, ale ona go nie widzi.

— Leżę w łóżku i czytam powieść kryminalną, tę łagodną lekturę, w której występują najwyżej trzy, cztery trupy, a zazwyczaj jeden, dwa. Pomyśl o czasach, w których gdy zabito w niewyjaśniony sposób człowieka, dwu ludzi, pisano na ten temat całą powieść. Te rozkoszne, idylliczne czasy, w których nikomu oprócz paru grup, nie było właściwie dobrze... Powieść kryminalna w większych ilościach działa jak wódka, nieprzytomna usypiam. Nie miej mi za złe, że nie wstaję. Ciągłe mnie głowa boli i łóżko broni mnie przed czymś nieokreślonym, po prostu zakopuję głowę w poduszkę... — Felix odwraca się, zdziwiona, że tak dużo powiedziała ona, której powołaniem jest pisać.

Janusz ujął jej twarz w obie dłonie, źle wygląda, oczy podkrążone.

— Bądź dzielna, nie poddawaj się, nie leż w łóżku, gimnastykuj się, ucz się, bądź dzielna — powtarza jak do dziecka — to się skończy niedługo, jestem twój, nie zapominaj o tym, że jestem zupełnie, całkowicie twój, moja, Felix...

Podniosła głowę, jej nieregularne spojrzenie skierowane jest do wewnątrz.

— Felix: szczęśliwa. Dlaczego mnie tak nazwałeś Janusz, to imię brzmi jak sztycy — policzki jej zapalały, wygląda w tej chwili rozżalenia jak ktoś obcy, kogo Janusz nigdy jeszcze nie widział. Kreśli ołówkiem na stole jej profil i zaciera go palcem w obawie, by nie ujrzała go nieczysta siła. Stał się nerwowy, maniacko przesądny gdy chodzi o Felix.

— Masz! — spod poduszki wyciągnęła kopertę. — Dziś przyniósł Stanisław. Już nie ma z nich nikogo. — Oparła brodę na rękę, mówi głosem zatartym, pozbawionym cech indywidualnych jak szum powolnego deszczu. — A śmiałeś się z mojej wiary we wróżby; że taka dorosła poetka, a dzieciak przesądny. — Skrzyżowała długie, wąskie palce, jaśniejsze od spodu, jak palce mulatek, jak liście topoli. — A przecież wiedziałeś, że ci przyznawałam rację. A tak. A jednak sprawdziło się: mam teraz dwadzieścia cztery lata i żadnej rodziny. — Wzruszyła lekko ramionami. Ten ruch jest bezradny, kruchy i dziecięcy. Głos beznamienny, znużony tak bardzo, że przypomina tonem bardziej naukowe sprawozdanie niż skargę.

— Moja matka miała słabe serce. Lubiała, gdy jej było czytać. Czytywałam jej rzadko, miałam sprawy ważniejsze, pójść z chłopcem na spacer, podglądać pączki czy kwitną, coś pisać, czytać... — uśmiechnęła się nie do Janusza, ale do nieznanej mu osoby z przeszłości. — Wszyscy zostali w tym małym miasteczku, gdzie się urodziłam. Były tam bardzo stare drzewa, sędziwa aleja. Tyle dorosłych, zdrowych osób umarło w jednym dniu. Nietrwale istnienia, nieśczęsny proch ludzki, pod drzewami, które pozostały. Piszą mi, że strzelano z taką zaciętością, że wielokrotnie poprzestrzelano drzewa. Już nigdy w życiu nie zobaczę tego miasteczka. Odcięto mnie od przeszłości — odetchnęła spazmatycznie — mam przed sobą tylko przyszłość. Tak, i ciebie — odpowiada na nagły ruch Janusza, nerwowe zapalenie papierosa — przyszłość z tobą, to brzmi lirycznie i przekonywująco. Ach, jaka jestem stara. I co to za ciężar być tak lekką jak ja, nie mieć więzów, nie mieć przeszłości żywej, nie mieć już matki. Czasami myślę, wyjdę w biały dzień na ulicę, spotkać los mojej matki. Niech mi będzie mi lepiej. Niech już skończy się ukrycie. Lecz myśląc o tym, nie odgadłam prawdziwego losu mojej matki. O, bo tego odgadnąć nie mogłam, wzdręgnęłaby się myśl.

Silne są związki krwi. Janusz wiedział, że Felix nie miała właściwie z rodziną nic wspólnego już przed wojną. Tamci zostali w małym miasteczku, w małych przyczynach, w małych domkach i sklepach, ona pofrunęła w życie poetów przepalając bliskość. A przecież teraz jej jęk jest jękiem gałęzi odrąbanej, szukającej pnia spalonego, gałązki miotającej się między niebem a ziemią jak dusza potępiona. W takich czasach, szkatułach śmierci, kochana pozostaje samotna, trudna do przeniknięcia. Bolesnie uciekającą krew tamuje milczeniem. Miłość to bardzo dużo, ale tak mało zarazem w gorących molekułach ropiejących czasów przystanąć by się pocałować. Tylko zwalenie rzeczywistości pięścią monumentalną mogłoby uratować Felix i tych, których oplakuje, wszystkich ludzi, ale nie Janusz, nie on. Nawet pocieszyć jej nie potrafi, kładzie tylko zimną dłoń na jej zbyt gorącym czole i szepce coś bez związku w czarne, rudawe włosy. Felix przy nim nigdy nie płacze, ale on wie, że trująca i nocna wypala jej strofę i jej miłosne wiersze, słowa o sokach miłosnych białymi żyłami dzięrgających się przez wrzące ciała, wrzące noce i dygocące

plótna, jej magiczny krajobraz gwiazd i księżyców nad okrutną bez miary ziemią, oszlifowane są łzami, Innymi jak noże. Wielbi Janusz jej słowa mówione cicho, gorzko, sennie, głosy smutnych, zagastych popiołów.

— Czy napisałaś coś dzisiaj?

Jakby przerwał zaklęty krąg, leniwe ciało ożyło. Felix podniosła się na łóżku, uśmiechnięta tajemniczo jak cyganka rozłaczająca gust. — Nie, ale do reszty poprawiłam ten rytm, który nie dawał mi spokoju. Wiesz, ten z *Czarnej pełni*. Teraz wygląda zupełnie inaczej. Namordowałam się nad nim strasznie wczoraj i dziś rano. Zobacz, no, zobacz sam...

Janusz ujrzał przed sobą twarz przeistoczoną, uduchowioną, mądrą, nerwową — czyta wiersz i porównywa piękność bezbłędnej strofy z pięknnością jej twarzy. Kilka sprostowań o wierszu. Mógłby jej powiedzieć wiele, jeszcze więcej, ale nie są to słowa fachowe, których tak jej trzeba. „Mój jedyny krytyku” uśmiecha się Felix, ale śmiech to niewesoły, skoro jej wiersze piszą się dla niej samej i dla muz i dla paru ludzi, nie schodzą w podziemia, bo sama Felix drukować ich nie chce, wierszy niedobrych. Kilka uwag znawcy o wierszu, które trzymają ją w napięciu, i już znowu zgasła twarz poetki, już znowu jest rozleniwiona, kapryśna: samicy, a Janusz przeląkł się, że jeżeli wojna szybko się nie skończy, niedobrze będzie z Felix. Wielbi jej słowa, mówione żywo, czule, głosy ogni tłących w popiołach. Śpiewne i bliskie, przypominają wiele i mogą spełnić marzenia. Są jak ciepłe gniazdo miłosne, splecione z nici, z traw, z włosów ludzkich i anielskich, z ziół i miękkiej zwierzęcej wełny. Jej kołana są okrągłe, drobne i wolno mu ich dotknąć. Uwielbia jej kolana, całuje je namiętnie, pragnąc zgłębić i mieć na własność sekret, którym wypowiada się jej skóra woniejąca zapachem czegoś bardzo pięknego, może mandarynki, może... Ręka kochanki wędruje po jego głowie nieuważnie jak po sierści psa, zabłąkała się w wargach rozjątrzonych jej bliską nagością.

— Muszę już odejść — jęknął — mam ważne sprawy. I pamiętaj — powtarza jak każdego dnia — zjedz całą bułkę i masło, gdybym jutro nie przyszedł idź do ciotki, nie czekaj na mnie, jeżeli spóźnię się więcej niż o godzinę, to znaczy, że już wcale nie przyjdę. — Formuła aż patetyczna, od miesięcy wsączana w mózg Felix.

— Nie! — poderwała się z sennej apatii — nie odchodź. Nie chcę być sama. Zostań ze mną przez noc. Tej nocy mogą przyjść do mnie duchy. Janusz! Nie chcę, nie mogę rozmawiać z duchami, brak mi odwagi. Niewdzięczna córka, marna, wykolejona istota. Nie opuszczaj mnie, nie zostawiaj mnie dziś samej — jej głos przerywany jest przerażeniem, pragnieniem zapomnienia i uścisku. Jęczy: — Kto wie co jeszcze z nami będzie! — oddychając szybko zsuwa z ramion kożusę, otwiera usta, zęby, ciepły, śliski język chowa we wnętrzu ust kochanka, silnie obejmuje go za szyję i z przykniętymi szczególnymi oczami rzuca się w ciemny zwój odczuć, z których nie ma innego wyjścia niż miłość, wspólny sen na poduszce, na której ślady lez zaschły w małe płaskie perełki, nieistotne, jak wszystko to, co w tej chwili nie jest febrycznym zwarciem, przeniknięciem, zmieszaniem śliny i białych soków gorzkich i gęstych.

Tej nocy po raz ostatni doznał Janusz czystego spokoju radości fizycznej, którą dawała mu jej młoda piękność i przy najbliższym zespoleniu duchowym — jej egzotyczna odrębność. Nad ranem, czując na policzku miarowe łaskotanie ciepłych włosów wdmuchiwanymi w jego sen zdrowym oddechem, nagle jak ze śliskiej

mielizny zsunął się w chłonec go fale mdlącego paraliżującego lęku; coby się stało z tą dziewczyną gdyby jego wzięto? Ktoby się nią zaopiekował? Czy Stanisław? Lęk, o Felix, o przyszłość, nabrała nagle piekącego męskiego posmaku. Brutalnie szarpnął ją za ramię i ciepłym, miłosnym piersiom Felix szepnął:

— Dlaczego pozwalasz się Stanisławowi całować i...

Nie spała. Uniosła się na łokciu, przytomna, jakby czekała na to pytanie.

— Pozwalam się całować, bo to jest przyjemne a „i”, bo to jest moja jedyna rozrywka, poza tobą, który nie jesteś moją rozrywką — westchnęła.

— Ach, ty bękarcie, ty najdroższy bękarcie! — jęczy Janusz słowami Stanisława, w przeczuciu, że będzie z nią rozłączony, w jasnovidzeniu tej ogromnej nocy miłosnej.

Tej nocy, krótko potem, śniło mu się, że jest drzewem, z którego raptem odlatują zdrowe liście. Liście te nie były właściwie liśćmi, Janusz od razu wiedział, że to są zielone miesiące jego życia z Felix i te zielone miesiące odrywały się i gasnąc leciały w ciemne dziury poza snem. Było to przykre i sen wstrząsał się niepokojnie jak dziecko chore na wysypkę. Janusz obudził się nagle jakby zacykał w nim ostrzegawczo świerszcz ukryty w zielonej gęstwinie. Tak, on sam był tym drzewem tracącym liście, zdrętwiałym kikutem powęzłonym sękami nabrzmiałych, chorych żył. Zesztywniał tak, że nie mógł poruszyć ręką, szumiąco mu i mrowiło w nodze — to Felix ściągająca z niego całą kłodę i w wystygłym łóżku, w mroźnym pokoju sen jego ucieleśniał się w formie sieroczej i niemęskiej.

Znaleziono u niego matrycę. Zegnając się z matką wiedział, że jest to pożegnanie i z Felix. Jak w upartym śnie milczał na zadawane przez Niemców pytania, ale już pierwsze uderzenie dostał nie we śnie.

— Du Hund! — wystękał Niemiec dławiąc się wściekłością i nowy cios wymierzył w zmienioną twarz Janusza.

Pierwszy dzień zniósł dobrze. Myślał o małej drukarni i o tym, kto teraz ma jego rewolwer. Błahe myśli pomagały jednak zebrać razem spłoszone, rozgniecione okrucy uczuć. Bliskość innych ludzi, dostojne ocieranie się o współwięźniów, skłaniały do opanowania. Byli to wszystko zwyczajni ludzie, „niewinni”, „nie wiadomo za co” tu wepchnięci, albo działacze, którzy o nic nikogo nie pytali, sami wiedząc najlepiej. Sprawa Janusza była od początku wiadoma. Nie mógł się przecież tłumaczyć, że znalazł matrycę na ulicy i z ciekawości zabrał z sobą, albo, że ciocia przyniosła do domu albo, że znajoma osoba podrzuciła mu z zemsty. — Mógł tylko milcząc poddawać się biciu, coraz gorszemu, coraz bardziej naruszającemu wrażliwy system nerwowy. Jego obojętność do coraz większego uporu w biciu doprowadzała przesłuchujących go gestapowców. Siedział już dziesięć dni i co dzień wracał do celi siny, umazany krwią. Uporczywie milcząc, jęczał tylko i łapał się za głowę. Myśl o Felix odganiał, myśl, prasującą mózg ciśnieniem wielu warstw cierpienia, ale trzymał się i dopiero jednej nocy, po morderczym, wibrującym jeszcze we wszystkich nerwach biciu, poczuł, że otwiera się w nim jak przepaść tęsknota za Felix. Świadomość, że jej nie zobaczy, była jak bicie. Razem z tęsknotą zaczął podgryzać nerwy strach, czy jej czego nie zrobili, że mogą zrobić, wziąć z domu każdej chwili, szukać, badać, bić. Przed oczami i jednocześnie na dnie głowy unosiła się udręczona, z potarganymi włosami, twarz sponiewiera-

nej Felix, ale żywej, bo ostatecznych i najprostszych wniosków nie wysnuwał, jakby myśl miał porażoną. Jęknął głucho, dwaj więźniowie nie pobici jeszcze — byli dopiero od wczoraj — zacisnęli zęby...

Z końcem drugiego tygodnia Janusz dostał uderzenie w bok, po którym oddał mocz z krwią, i uderzenie w głowę, po którym oko na stałe zapłynęło krwią. Zaczął teraz do siebie coś mówić półgłosem szepem, a nawet podśpiewywać dawne, zasłyszane gdzieś piosenki i tango, które grali przed wojną, gdy nie znał jeszcze Felix i świąt układał się prościej. To, że nie układał się prosto, nie Felix było winą.

Stał się udręką towarzyszy w celi, nie zamykały mu się usta, jak baby różańcowe przebierał palcami, chwytając zamiast modlitw próżnię i zająkliwość, prozalnie szumiął bezładnym, gorączkowym szepem. Dotąd nic nie powiedział. Gestapowiec z precyzją uczonego zastanawiał się, ile jeszcze potrzeba dni do ostatecznego wykończenia bandyty.

Gdy strażnik sam się zaoferował dostarczyć gryps. Janusz zaczął gromadzić papierki z napół wyjedzonej paczki od matki, po kolei obdarzał grypsem bliskich i przyjaciele drżeli przed niebezpieczną kartką. Nie pisał jeszcze nic o Felix. Wierzył teraz z prostotą, że wyjdzie rychło z więzienia i od razu, nie witając się z nikim, do niej, zdziwionej, pobiegnie. Ale bardzo i ciągle bolała go głowa i myśli rwały się, nie mógł sobie przypomnieć, w którym roku wybuchła wojna i uszeregowanie rzeczywistych zdarzeń zagubiło się w fantastycznej, rozluźnionej powolności, przez którą groźnie jak pośpieszny pociąg czarną nocą pędziła myśl o Felix, odrealnionej i uporczywej jak poczucie niespełnionego obowiązku. Nie pamiętał skąd tu się wziął i co się stało w przeszłym miesiącu — bóle głowy wysysały z niego pamięć — ale szczególnym trafem czy figlem nonsensu utrwalił się w nim obraz nieskończonych wędrówek i poszukiwań schronienia dla Felix. Jawiły mu się wszystkie ciemne, zaniedbane schody o stopniach trzeszczących i śliskich od kocich niezczystości, nie statyczne, lecz w ciągłym ruchu, jak nieustannie zjeżdżające w dół windy, schody, które tyle razy przemierzył, że prześladowały go nawet na jawie. Ciągle chodził teraz po tych schodach mętą pamięcią, wspinał się na czwarte, piąte piętra. Nieskończenie biegły w górę i w dół... Zjadliwym i nieczystym śmiechem wyśmiewały go chytre oczki wiedzów kościstych, kłębiących się w małych pokojkach złożonych z łóżka, chmury doniczek z zielenią i dziwnych bizantyjskich światów obrazów świętych, płam złota na poczerńniętym od pary domowych obrządków tle. Wieczorami skarżył się na bóle w nogach, kulił się w sobie, zerkał nieufnie, dyszał z przejęcia, że ukrywa Felix i ostrzeżony głosem wewnętrznym nie może o niej mówić, bo by jej to mogło niechybnie zaszkodzić, zdekonspirować wobec mirtów drobniutkich, towarzyszy trwogi, wobec pelargonii wlochatych, zrobionych z zielonego koca, które piętrząc się w małych okienkach na schodach, napierały na niego chorobliwie majaczącą rzeczywistością.

Któregoś dnia gestapowiec spojrzął na niego nieprzyjaźnie, powiedział coś do drugiego Niemca i zaśmiał się, i nie uderzył. Wtedy zasadnicza wątpliwość ugrzęzła w mózgu Janusza i całe warstwy myśli wokół niej zaczęły się zagniać i jątrzyć. Tego samego wieczoru pobito go znowu do omdlenia. Słabnąc wyjęczał: „jutro”... Gestapowiec roześmiał się szczerotliwie: *Kein Morgen hast du mehr*... Coś w czasie Janusza załamało się. Zaczął nucić pod nosem kolendę i znowu dostał w twarz.

Po przywleczeniu się do celi, na bibulce papierosowej napisał po raz pierwszy do Krystyny, dłużej już nie mógł czekać, już nie miał czasu. „Pójdiesz — tłumaczył — na Szlak, do pani Wirskiej na trzecie piętro — zapukasz trzy razy, gdy ci otworzą zapytasz się o pannę Zosię, jeżeli jej tam nie ma, pójdiesz na Mikołajską... na drugie piętro w oficynie, do pani Marszałkiewicz, zadzwonisz cztery razy i zapytasz o pannę Marysię”...

Obca, niepewnie wyglądająca osoba przyniosła kartkę. Krystyna przeczytała i zbladła. Zrobiło jej się słabo i musiała usiąść. U drzwi wejściowych ktoś szorstko nacisnął dzwonek. Krystyna drgnęła przestraszona, i myśl, że w tej chwili dzwonią tak samo do Felix kazała jej opanować słabość. Powoli podeszła do drzwi,

otworzyła z łańcicha. Nie było to gestapo, tylko osoba co dostarczyła kartki, zapomniała w kącie parasola. Krystyna w popłochu zarzuciła na siebie płaszcz, bez kapelusza, w deszcz pobiegła do Stanisława i z nim razem na Mikołajską. Spóźnili się o pół godziny. Gestapo było szybsze. Roztrzęsiona gospodyni bełkotała coś płacząc, niepewna swego losu. Słyszała tylko przez uchylone drzwi krzyk szarpanej za włosy. Podrapani gestapowcy spokojną już powlekli do auta — w milczenie, w którym rozpięła się Felix jak gwiazdka śniegu na wardze. Zostały tylko niektóre wiersze, porzucane po ludziach. W całą resztę, nieważne żywe życie, dmuchnięto z wielkich ust zniszczenia i rozsypało się w pył nieuchwytny.

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

BEZ WZGLĘDNI

(Fragment)

Dorocie, Ewie i Andrzejowi poświęcam.

Między wami a mną coraz bardziej dłużej się noc i dni, że już ani wschodów, ani zachodów słońca nie oglądamy wspólnie.

Na światło i na ciemność oczy nasze różnie reagują, słowa i milczenie inny w pojmowaniu naszym mają sens, najprostsze, codziennego użytku przedmioty nie to samo w naszym życiu mają zastosowanie.

Serca alarmują przed innym, skądinąd nadchodzącym niepokojem, a ręce mijają się bez pozdrowienia, jakby się nigdy przedtem nie znaly.

Na kimś, istniejącym za nas poza nami, musimy sprawić wrażenie pogniwanych na całą wieczność, że nawet zmysły odmieniliśmy, by żadne wzruszenie nas nie pojednało.

A przecież wiem, że śledzicie moje myśli, ciekawi, czy poza nimi nie ukrywa się jakaś, dla was przeznaczona, nadzieja.

W każdym krajobrazie dostrzegam wasz, dla niepoznaki rozwiarty w powietrzu, wzrok, jak chciałem wypatruje dróg i rozdroży moich spojrzeń.

Między dźwiękiem a uchem słyszę wyraźnie, rozlegające się czujniej niż milczenie, wasze zasłuchanie.

Między rzeczami a uczącą się ich moją dłonią wyczuwam delikatną, jakby zrosniętą z nierozpoznanym jeszcze kształtem, warstwę waszego dotyku.

Z zapachem wschodzącej na wiosnę i zachodzącej na zimę gleby wchłaniam wasze, na straży mojego rozkwitające, powonienie.

Nawet w mój zmysł równowagi wkładacie swoje uczucie jej zachwiania, bo gdy zapóźniam się w obrotach dookoła ziemskiej osi, wasze a nie moje ciężenie słońce do wyrównania dnia z nocą przynagła.

*

O was nie wątpię nigdy tak jak o umarłych.

Jesteście z mojej rozpacz i wyrzutów sumienia tak, jak byliście z mojego wzroku, słuchu i dotyku.

Jedno wasze słowo ma większą w moim umyśle wagę niż cała mowa moja wraz z milczeniem, których na wspomnianie was używam.

Jedno wasze spojrzenie odbiera wszystkim widokom, na które patrzę, ich życie w świetle.

Jesteście w mojej świadomości bardziej niewątpliwi niż ziemia, na której wyrosłem i niebo pod którym się chyle.

Wy wiecie o tym i w każdej chwili, którą się dłużej, wiedzę tę mi wypominacie.

Czyżbym tak bardzo wobec was zawinił tym, że wolność przeżywam tak, jak wy przeżywaliście jej pragnienie?

Czy uważacie może, że niegodne jest moje życie i że tylko śmierć wasza niepodległą być mogła?

A może zawziętość wasza ma swoje źródło w tym, że serce moje nie przestało bić, gdy trzeba było, oczy moje nie zaniewidziały w porę, uszy nie skamieniały, a myśli...

Gdyście szli, drobni chłopcy, z granatami ukrytymi pod marynarką, przyznaje, nie umiałem idąc drugą stroną ulicy zatrzymać serca, by milczało. Może właśnie te za głośne uderzenia zaalarmowały żandarmerów, że nadeszli by was legitymować?

Gdyście wysiadały z tramwaju, młode i piękne dziewczęta, ze znajomymi torbami z zielonego płótna w rękach, może o chwilę za szybko wlepiłem oczy w sklepową witrynę i obudziłem czujność czyhającego szpicla?

Może to mój niepokój natrętny zmylił waszą czujność, że otworzyliście drzwi, nie zwracając uwagi na to, czy prawidłowy był sygnał?

Może to mój strach ustawiczny o siebie, o siebie, o was odebrał dłoniom waszym celność, a rozwadze spokój? Może gdybym tak bardzo nie usiłował z wami współdziałać pragnieniem, z walki na Asfaltowej i Długiej wyszlibyście zwycięsko?

Może, gdybym wtedy dał wiarę twoim przecucom tak, jak własnym wierzyłem zawsze ponad potrzebę...

Czuje się wobec was tak bardzo wimien, że nawet gdybyście pozostawili mnie w spokoju i oddali, ustanowionemu na życie od dłoni do dłoni, zdolność nadawania nowych kształtów wyobrażeniom, nie potrafiłbym już nic uczynić ze światła, dźwięku czy dotyku, co nie byłoby powtórzeniem waszego ich odczuwania.

Nie potrafiłbym przekonać siebie, że już przemieniliście bezpowrotnie.

Ze moja wolność bez was się staje.

Ze pragnienia wasze nie kształtują nowych form życia społecznego.

Nie potrafiłbym tak samo, jak nie umiem obronić się od waszej bezwzględnej natarczywości.

Lecz wy, ze swojej odległej o resztę mojego życia strony, powinniście zrozumieć, że ustalenie form

porozumienia między nami należy do rzeczy najbardziej niemożliwych.

Nie myśląc i nie wątpiąc o was tak, jak o innych umarłych, nie zmienię obiektywnego faktu, że śmierć nas rozdzieliła. Nie jestem w tej chwili pewien, czy śmierć waszych ciał, czy też moich, was tyczących, pragnień. Lecz jednak.

Czy od stowarzyszonych z wami umarłych nauczyście się kiedyś być bardziej wyrozumiałymi (bo ja od czasu wspólnie oglądanych wschodów i zachodów słońca przejąłem wiele cierpliwości od żywych)?

Czy będziecie umieli oczekiwać ode mnie rzeczy mniej nieprawdopodobnych?

Bo nie tylko zmysły nas różnią, lecz obowiązki i światopoglądy.

W polowych mundurach mrówek walczyście o żdźbło trawy i skrzydełko muchy. (Ja już umiem oce-

nić rozmiary waszych pragnień i nawet nie pomyśleć tylko).

Pod hełmem z ziarenka piasku planujecie inną niż ja przyszłość Ziemi.

Inaczej nadzieję wypowie mgnienie waszej wieczności, niż długa od jednego do drugiego uderzenia serca — chwila mojego życia.

A może bezwzględność waszą powoduje wciąż jeszcze moje serce?

Może nie tylko mój, ale i wasz spokój od jego uciszenia jest uzależniony?

Może gdy przedłużę jeszcze bardziej chwile między jego uderzeniami tak, by potrafiło zatrzymać swój mechanizm na jedno o was pomyślenie, usłyszycie dla was milczeniem wypowiedzianą nadzieję.

Wtedy dopiero, gdy chwila ta zbliży się trwaniem swym do waszej wieczności...

TADEUSZ BREZA

MURY JERYCHA

Rozdział I.

Całą noc ze środy na czwartek Jelski przejechał pociągiem. Nad ranem zbudził się, przewrócił na bok, wyrzwał oknem. Zawsze to samo, pola wąskie jak deski, kępki drzew, laski podobne do torcików, ludzie bezmyślnie zadziwieni koleją, rzeczki przyjmujące za dobre kapkę swoich wód. Wszystko to pędziło szybko pod włos, wyslizgiwało się poszatkowane, zielone, przysadkowate. Jelski podparł się i patrzył na te rybnie zasłuchane oczy za szkłem. Jak w dzwonie, szepnął, zapuszcza się człowiek w tę prowincję, jak w dzwonie podwodnym. Strach, jakie to życie! Wejść w nie to to samo co w noc. Gna człowieka co prędzej do domu. Zabawne jest tylko na chwilę wyjrzeć i galopem do swoich.

— Czy to się już ubierać — zastanowił się. Et, jeszcze czas! Albo niedobrze leżeć tak i kołysać się i straszyć samego siebie życiem po małych miasteczkach. Ot jak to — objął spojrzeniem małą stacyjkę. Pociąg ani tu zwalniał, co mu po niej! Drażnić się z sobą, w myśli skazywać się na Mławę czy Tłuszcz, a samemu siedzieć jak na tronie w pośpiesznym, cały jakby w futerale z czerwonego pluszu, z głową pełną poleceń, plotek z ministerstwa, które nie da się zmarnować swemu pupilowi.

— Może umyć się... chyba — postanowił. Pogrzebał w walizce. Wszystko jest co trzeba. Mydło, maszynka do ostrzenia, żyletka, gumowy portfel wypchany mydlarskimi smakołykami. Każdy składnik z osobna wypróbowany, każdy pachnie zagranicą. Pamiętają jeszcze o człowieku koledzy, przywożą, przesyłają, żeby się można było skropić hyzopem lawendy, przyjąć w mydle, w pastach, w maziach ostatnie namaszczenie angielszczyzną.

— To by była szczotka — mrucał Jelski — i odkładał szczotkę do ubrania, to by była do butów — i dołączał do niej kwadrat żółtej flaneli, to by była chusteczka — położył ją na wierzchu. I to by było wszystko — osądził.

Ale w obu umywalniach już ktoś siedział, choć wagon wydawał się w drodze nie zatłoczony. Więc wrócił. Nie ma się czym przejmować. Czasu jeszcze dużo. Zresztą, w razie czego, ileż to razy przyjeżdżał człowiek brudny do miasta? Tak, gdzieś się trzeba zatrzymać! Jakiś hotel. Zawsze na prowincji bywa jeden reprezentacyjny, a w nim kilka przyzwoitych po-

koi dla gości z wielkiego świata. Jelski ziewnął i przysiadł. Trzydzieści lat! pomyślał, a jednak już się męczę nocą w wagonie. Młodość, młodość, nie ta jednak co tak niedawno. Mimo to nie zamieniłbym się. Co dojrzałość, to dojrzałość. Ma się jakiś inny wzrok. I to objęcie całości. I ta spokojna pewność siebie. Tylko dalej tak ogarniać ludzi, sprawy, świat. Będzie z tego znaczenie i władza. Bo przecież tylko tacy jak my. I twarz mu spoważniała.

A naprzeciw niego wojskowy spał dalej. Gazetę, którą podłożył pod buty, całą zmierzwił, płaszczem rozrządził niegospodarnie, skupiwszy go w przeważnej mierze na barkach i piersiach, czapkę coraz to osłaniając oczy, zwichrzył sobie włosy; czarne, w kruczych kępkach kleiły mu się do głowy, śliskie jak pijawki. Jakiś niezdar. Żeby też być taką osobą; cóż za zimno i niewygoda. Pewnie jakiś zapadły garnizon. Jelski wstrząsnął się, wstał po pled, pościągął, pled powłókł za sobą książkę, która z całej wysokości spadła na wojskową głowę. Jelski martwieje. Pospać tak w poniewierce to pośpi, ale w łeb sobie dać nie da. Wykropi awanturę. Wojskowy jednak patrzy w wytrzeszczone oczy Jelskiego i dąsa się:

— Mógłby też pan uważać!

Potem poprawia się, trochę rozluźnia ucisku, w który go otępienie wtłoczyło i sarka:

— Trzecią noc tak człowiek w wagonie. — Potem odwraca się i znów nasuwa swoją czapkę.

Jelski jeszcze raz przeprasza stokrotnie. Takie to ich życie, zastanawia się: siedzą po jakichś dziurach całymi miesiącami, aż nagle coś się dzieje i tłuką się po kraju do utraty tchu. Głupie urządzenie. Tylko, że jakie może być inne dla takiego? — I Jelski wybiera delikatnie z pomiędzy płaszcza i pluszowego oparcia kartki książki, która się rozsypała; nagle ogarnia go uczucie zniechęcenia, jego los naraża go również na pewne trudności. Za całe przygotowanie do sprawy obeznać się tylko z pismem premiera do wojewody, to mało. Jeszcze gdyby wojna czy rewolucja. Ale nie. Tylko że nie ma na takiego sposobu, co z jednej czy drugiej wyrósł. Zawsze będzie nie głową myślał ale wojną. To dopiero poprawimy my.

Ten znowu wszystko myślał pokojem. Jelski otworzył książkę. Zajrzał na koniec. Prawie pięćset stron. To się nic zrobić nie da. A jeszcze dwie takie są w kuferku. Może cieńsze, może grubsze. W końcu za-

wsze nie ma na nic czasu. Wielka szkoda. Właśnie trzeba było się zjawić, dopatrzeć poleceń premiera, a w razie czego spokojnie podjąć rozmowę. Jest władza, proszę bardzo, ale i racja jest. Proszę posłuchać. I wytoczyć wszystkie argumenty. Z całą powagą i z całą gotowością. W kwestii administracji, tak a tak, racja stanu taka a taka, racja historyczna znów taka. Jak ją państwo znajdują? Wzrok Jelskiego przechodził z uwagą spis rozdziałów. Coś by warto głównego wyłowić, jakąś gruntowną zasadę. Prawny, konstytucyjny, rozumowy dowód. Żeby nie ucinał gadania, ale był końcem wahań. Z tych książek wynaleźć właśnie taką nieodwołalność. I ubrać ją w słowa osobiste, nie gazeciarskie i nie wiecowe, i Boże broń, nie prokuratorskie. Tylko jak gdyby je podszeptą instynkt narodowy, sprężysty, trafny, rdzenny. Cóż on by na to powiedział? Jelski zaczął czytać.

Ale tym jeszcze najtrząsał treść. Takie łapanie faktów, dat, nazwisk jak przed egzaminem. Tu królowi stawia się plus, tu mu się stawia minus. Jakaś diabelna buchalteria. W następnych wydaniach tej monografii autor przyda jeszcze jeden rozdział. Powtórny pogrzeb, albo: miejsce wiecznego spoczynku. Przecież to też są jego dzieje, taki opór, taka ekshumacja, taki pochówek. Przeniesienie zwłok Napoleona: we mgle widział Jelski strzępy wierszy, potem jakieś francuskie imiona wszystkich, jak po niego jechali, na zawsze tym zapisani do historii. Głupia rzecz, zaklął, pomyślawszy o sobie, głupia rzecz tak dać się złapać historii. Może to głupstwo co robię. I będę już z nim widniał, kiedy mnie po latach wygrzebie jakiś naukowiec, pisząc pracę o drugim pogrzebie Stanisława Augusta.

Et, mruknął, co się będę przejmował! Lecz przestał czytać. Może by naostrzyć żyłkę... Czekając zadumał się. To ten się znowu zbudzi. Spojrzał na oficera, którego sen wynosił na powierzchnię ocknięcia. Odkreślił wieczko tubki z pastą do golenia i powąchał.

— Niby niczym, a jak pachnie — zadziwił się. Przed oczami wyrósł mu Dykiert, kolega ze szkół, z uniwersytetu, z pierwszych lat pracy społecznej. To on mu zawsze przywoził coś z zagranicy, wracając na urlop czy z kurierki. Ten pled, bez cła, Jelski sięgnął pamięcią, ileż kosztował — grosze. To także Dykiert. Siedzi teraz w centrali. Biedaczysko, westchnął, co też on ma z tym swoim bratem. Jelski poczuł, że mu gorąco. Oblała go fala gniewu.

Ten brat był od nich młodszy o rok, brudny, nieruchawy i najzdolniejszy w całej szkole do matematyki. Po kim brud nie wiadomo; cała rodzina taka o siebie staranna, bo matematyka po pradziadku, profesorze Szkoły Głównej, krągłolicym panu z portretu w salonie. Zapatrzył się Jelski w ten salon. Dobra rzecz być z takiej rodziny. I tak osądziwszy pożalował siebie. Dostatek, tradycja, rodzina, pół na pół na wsi i w mieście. I to na jakich stanowiskach! W trybunałach, w magistracie, w kurii, w towarzystwach kredytowych. Nie ma na takich zmiany rządu. Szanowani panowie od lat. Mieszkańska konserwa. Każdy z nich łożył, dawał, popierał. Zawsze we wszystkim zajął obywatelskie stanowisko, po głębokim namyśle uczynny, nieodzowny w każdym Komitecie pożyczki czy uczenia; koniec końcem umierał na koszt miasta, uniwersytetu czy państwa. A jego brat, który ma wieś. A jak nie brat to kuzyn. Wielki dwór gdzieś na Litwie czy w Galicji, a czasem bliżej jakiś folwarczek pod Warszawą. Jeździł po nich i Jelski w charakterze kolegi. Raz zebrał się w kilku na dwa tygodnie obrad, kończąc prawo. Co począć z życiem?

Jak się do rzeczy zabrać? Jak je rozegrać? Przyszłość tego kraju należy do najzdolniejszych. Więc czyż nie do nich? Jelski już ślęczał nad pracą doktorską i wiązał ją z urzędowaniem. Profesor wcisnął go do ministerstwa opieki społecznej, temat pracy łączył się z robotą, robota z urzędowaniem. Teraz tylko poszerzać to, podnosić się, obrastać i przejąć w swoje ręce państwo. Czy czegoś chcą? nie to nie on, to od nich właśnie chcą. Najlepszych w seminarium, najmocniejszych w studenckich dyskusjach, nie na wiecach, lecz w układach uświadomionych, światowych, świetnych, władających słowem i piórem, przygotowanych na zachodnią miarę.

I znów się Jelski namarszczył i nadał. Takie były moje początki i taki koniec! Bo zamknęły się lata zapалу, lata ciekawości i niepokoju. Lata pierwszych sławek. Zdaliśmy już na majstrów — powiedział mu raz Dykiert. Teraz tylko czyhać i czekać, gdzie się jaki warsztat nasunie. Już Karnowski został wiceministrem, ani z partii, ani z wojska, o nie. Właśnie z takiej szkoły jak oni, warszawskiej intelektualnej formacji. A Latkiewicz, bajeczna kariera, dostał departament mając ledwo po trzydziestce. Ich druh, ich rocznik, kolega z gawęd na folwarku pod Warszawą. Ta formacja to niezła rzecz. Tylko to czekanie, przekłete czekanie, do którego się już tak nawykło, że w najlepsze sobie stało się częścią życia. Czekanie bez zgrzyot, bez strachu. W poważnej pewnością siebie. W uznaniu swoich jakości. Bo jak nie my — to kto?

Odsunął od siebie książkę stanowczo. Nie należy w niczym przesadzać. Nie udało się wystąpienia przygotować, no to na przyszły raz. I tak się tych ludzi przerasta. I tak się jest dla nich kimś z góry. Można wykręcić się sianem. Alboż to brak ogólników. Jelski popatrzył przez okno. Las, lity, szczery las, bez dróg i szlabanów. Bramura, pomyślał, Bramura, to zdaje się właśnie gdzieś tu. Mieć taką puszcę na Bramurze. Jak to tu jest? Czyż można ją na wylot znać? Ileż to może być tysięcy mórg? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Straszny majątek taki las! A jeszcze do tego zamek. Mignęła jakaś kapliczka za oknem. Jelski za późno się poderwał. I nic. Dalej po obu stronach walił las. Wydzierać go państwu, dziwna rzecz. Procesować się z nim w imię historii.

Jelski posmutniał. Historia, zastanowił się, historia! W ogóle co to z nią za sprawa. Dla niej rodzina Ani droczy się z sądem o ten las. Dla niej się teraz jedzie, żeby napchać kośćmi w rozsypce kryptę pod kościołem i może palnąć głupstwo. Właśnie to, że się z nią nic nie wie. I skoro zmieszać ją z życiem — ten dziwny wstyd! Sztuczność, zwiewność tego wszystkiego. Cóż tu może mieć do tego urząd. I właśnie o to był na siebie Jelski zły. Ze swój rodzaj zdradza, że nie zgadza się z sobą, że sprawę upraszcza. Jak ta nieokrzesana starsza wiara nieuków, prostaków, barbarzyńców, których powoli się zastąpi rzeczywistą, staranną elitą, wyborem jednego pokolenia.

— Trzeba by to jednak znać! — Ale zanim w książce odszukał miejsce, gdzie przerwał, coś go przymusiło, żeby się przed siebie spojrzeć. Oficer na niego patrzył.

Siedział niezgrabny, rozbity zmęczeniem, przegarniał palcami włosy do tyłu, jakby się za nie ze snu wyciągał, ale twardy, tłusty, powichrzony porost, traktowany tak grubym grzebieniem, nie chciał przywarować. Drugą ręką wojskowy wsunął w otwór rozchelstanej koszuli i drapał się po piersiach ruchami

pełnymi niezadowolona i nuda, nie oczekując, by od tego zabiegu mogło swędzenie skóry zamilnąć. Twarz jego była jak gdyby niewypakowana jeszcze ze snu, nieuporządkowana wedle jakiegoś założenia czy miny, rozlazła, powlęczona tłustością i pyłem. Wtem jedne oczy wzięły na siebie przebudzenie. Już nagotowane do spostrzeżeń, choć jeszcze leniwe do zetknięć. Oficer wzrok wycelował w Jelskiego. Niebardzo przenikliwy, niebardzo ciekaw, tylko że to już weszło mu w krew tak sobie ludzi nasadzać na wzrok i powoli z nich prawdę wydobywać. Jelski pierwszy zagadał coś o książce, że mu nie wiedzieć jak zapłatała się w pled. W taki nieład od razu rzeczy wpadają, tylko do wagonu wejść!

— Ot co, lokaj by się panu przydał! — uzalił się nad Jelskim wojskowy z potulną miną, jakże było wziąć jego słowa za przytyka.

Jelski uśmiechnął się. Też myśl! On w podróży z lokajem. Jak hrabia. Może się takim wydał swemu towarzyszowi.

— Pan mnie zdaje się bierze za dziedzica! — rzekł i pochylił się z całym powabem. Pomyślał — co najmniej godzina drogi! Jak nie czytać, to jeszcze najlepsza rzecz pogadać. A tymczasem oficer przeciągnął ręką po twarzy umorusanej snem. Jak nie dziedzic powiedział sobie, to pewnie urzędnik. Z tych, co to państwu służą z galanterii. Bukietowy rodzaj.

— To już nie będę pana brał za nic! — postanowił z całą poczciwością. Po czym wyprostował się, usiadł z nogami na ziemi, zadzierając je kolejno, by obmacywaniem po butach zbadać, czy parzą nagniotki. Naraz syknął.

— Niedługo chodzić się już nie będzie mogło.

A potem jakby się radząc Jelskiego co do swego losu dodał:

— Chyba będą człowieka nosić jak Chinę.

Jelski spoglądał na buty, ale nie śmiał wystąpić z uwagą. Oficer sam się wytłumaczył:

— A ściagać, panie, toż dopiero męka!

— Ale jakże jej sobie od czasu do czasu nie dawać — rzucił Jelski i dumny z konceptu uśmiechnął się, choć w strachu, czy oficer nie weźmie mu tego za zaczepkę. Ale oficer nadal wpatrywał się w Jelskiego nieruchomo, teraz może z odcieniem powagi. Tak, to jeszcze coś z tych bubków, myślał, wykręcających się od pracy sianem, ministerialnych paniczów od zagranicy i mędrkowania. Takim to w głowie tylko nowość. Najważniejsza rzecz w państwie, żeby miało świeży model. Ci by je dopiero ubrali — tu zaklął w duchu — tak jak i siebie, z całym uszanowaniem dla ostatniego żurnalu! Do tego to on się już nie nadawał. I tu oficer wzrok opuścił.

Spojrzał na książkę na stoliczku. Coś mu przez głowę przemknęło. Tak to miało być dziś czy jutro! Sama sprawa, nie jego sprawa. Tyle, że powinien wszystko wiedzieć. Co to miała być za sztuka z tą trumną? Jakaś moskiewska złośliwość. Memento jakieś czy figiel. Kamień do naszego ogródka. Czasy, co to ani chwili, ani złotówki na marne, a rząd dalejże po kraju z królem. Śledzić teraz należało druki, tajne komunistyczne gazetki, co tam w tej sprawie napiszą. Że nic, czy że źle. Na gonka. Jeżeli tak, to widoczna zła wola. A jeżeli w takiej chwili zła wola, to już się o tej Moskwie coś wie. Oficer coś się jej bał. Więc ze złością myślał o Stanisławie Augustcie. Zawsze jeden i ten sam, zawsze rosyjskie narzędzie. Podniósł oczy na Jelskiego, znów wzrok nieruchomo zawiesił. Zdaje się miał być jakiś gość z Warszawy. Może to i ten.

— Coż pan mówkę przygotowuje na pogrzeb —

pokazując na książkę o Poniatowskim, odezwał się z głupia. Jak zrozumie, to ten.

Jelski wyraźnie się stropił. Miała być przecież tajemnica. A tu raptem wrywa się z tym oficer. Obejrzał mu epolety i kołnierz. Kapitan piechoty. Pewnie z okolicznego garnizonu, ale żeby taki zaraz wszystko wiedział! Jeszcze próbował rzecz uciąć, napomknął, że w ogóle lubi historię. Ale załamaniem głosu się zdradził. Kapitan już wiedział co chciał.

— Historia, powiedział znów tym swoim słamazarnym, nieporadnym głosem, to dobre dla magistratu, żeby miał co na nazwy dla nowych ulic. A tak! — i machnął ręką.

— Nie, nie trzymało mu się głowy żadne takie wykształcenie. Czy się czegoś takiego uczył — nic już nie pamiętał. Kozicowi dać człowieka — mówiło się o nim w biurze. Papier czynił go nieszczęśliwym. Żywy człowiek — oto coś, z czego dało się prawdę wycisnąć. Lecz urzędowanie, akty, a broń Boże, drukł przy nich kapitan się tracił. A ten tu mu wyjeżdża z historią i z książką. Jelski nic z tego nie odgadywał. W kilku ładnych zdaniach pouczył oficera, że państwo wiele zyskuje na kulcie swej historii. Kozic był zły. Też od rana jest sobie czym zawracać głowę. Każda rzecz powinna pilnować swej pory. Zwłaszcza jak na nic nie potrzebna. Zagotowało się w nim wszystko. Mało to roboty rzetelnej, żeby mu się jeszcze na biurko kładł taki pasztecik z nieboszczyka z przed tysiąca lat. Nie, to Chrobry był tyśiąc, po omacku wstawił w myśli tę poprawkę. Ale od tej szarej, zamazanej czeluści, którą była dla niego dawność, Kozic jeszcze mocniej zażorzał. Dmuchięło mu przez głowę polotem kirysów, pasów złoconych, podgolonych łbów. Owszem, na scenę z tym czy na obraz, ale okadzać tym rzeczywiste życie — poco, kogo to zamroczy. Mało w świecie załgania, jeszcze nabierać ludzi będą na historię. Przerwał Jelskiemu, kiedy ten, już się tocząc w temacie, mówił: — Jesteśmy przecież dalszym ciągiem.....

— Iiii — piszczał — żaden dalszy ciąg, ale nowi właściciele. Państwa zaborcze zbankrutowały i myśmy to po nich kupili z licytacji. Nie mamy żadnych zobowiązań. Nikim się tu nie potrzebujemy krepować.

Jelski uśmiechnął się mimo woli, wrażliwy na paradoksy jak na łaskotki, łagodniej już rzekł:

— Tak, ale my jesteśmy ta sama rodzina, to nie poszło do nowych rąk!

— Ta sama, nie ta sama — w zgryźliwym znużeniu przedkładał oficer — wszystko jedno. Co my mamy z nimi wspólnego. Ani mi za tymi dawnymi Polakami, ani za nowymi; na wady biorąc, to nie mają sobie co wymawiać, tylko gdzie pan widzi, żeby się im od nas co należało. Wleźliśmy w nowe gospodarstwo, był tu przed stu laty właściciel tego samego nazwiska, kuzyn nie kuzyn, może pomnik mu za to stawiać, przywracać w czymkolwiek jego dawny porządek! Poco się komu w tym nadwierać. Takiej dziury się nie załata. Machnąć ręką na stare zgryzoty, z których się nic nie rozumie. Poco siebie łudzić.

Jelskiemu przestała smakować cała ta sytuacja. Śmiała n ślą to on chciał dokazywać cudów, nie żeby mu z tym wyskakiwał jakiś szaraczkowy oficer. Patrzcie, zachciało mu się, Jelskiego będzie gorszyć i zdumiewać!

— Rządu nie było — oświadczył z namaszczeniem — ale był naród. A jeżeli był naród, to była historia. I cały czas naród i cały czas historia. Więc nie było przerw.

Kozic zachichotał do brodu. Co on już się takimi gadaniami ludziom napsocł!

— Były panie — wyrzekł głosem głęboko i naiwnie przekonany. — Wznawiała się historia jak naród robił powstanie. Tworzyły się władze, wojsko, rząd. Wtedy, godzę się z panem, była historia. Ale bez tego, zgódź się pan znowu ze mną, nie ma historii. Bo historia to ministrowie, to sejm, to polityka, to całe to kierowanie. O tym są akta. I z tego jest historia. Naród, proszę pana, to morze. Widać tylko to co po wierzchu!

Prztyknął palcami w książkę na stoliczku, potem przytknął je do nosa i poniuchał.

— Ja, zdaje się, już wywąchałem poco pan je-dzie!

Jelski nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć.

— I nawet zazdroścę panu. Krzywdy pan swemu gościowi nie zrobi. Bardzo miła robota. Nie to co moja, taka brzydka. Żywych, panie, wkopywać i grzebać. (Ciąg dalszy nastąpi).

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

POLITYKA W OBOZIE JEŃCÓW WOJENNYCH

— Z czego się cieszą? — zgrzytali ku nam z nienawiścią, co zajadlejsi wachmani, gdy pod wpływem jakiejś mocniejszej wiadomości podniecenie wzbierało w obozie jak fala. — Przecież i tak stąd nikt już z was żywy nie wyjdzie.

Ale te pogrożki nie przejmowały nas trwogą. To, co budziło trwogę rzeczywistość — to był ów dziwny widok obozu i zamkniętych tam ludzi, gdy się czasem wracało pod strażą, z zewnątrz; z wizyty lekarskiej w Izbie Chorych. Bo właśnie z zewnątrz, po wierzchu, to wszystko w czym się przez lata całe tkwiło, wyglądało naprawdę niepokojąco. Za podwójnym rzędem drutów — wokół garaży samochodowych, które były naszym mieszkaniem — pod dozorem karabinów maszynowych i reflektorów — płynął wydeptany szlakiem wzdłuż drutów i wśród chwastów, zimną i latem, wiosną i jesienią — szarzielony korowód ludzki, tłum spacerujących w koło, zawsze w tym samym kierunku, zawsze wstecz ruchu wskazówki zegara, tłum ludzi o twarzach jak gdyby mgłą zasnutych, tłum krążący w ten sposób niezmiennie przez cały rok — i przez dwa lata — i przez pięć.

Tak wyglądał z zewnątrz — oficerski obóz polskich jeńców wojennych w głębi Niemiec, w okolicach Neubrandenburga. Tłumy, beznadziejny na pozór ruch w kółko, po tym samym obwodzie. Nic dziwnego, że — jak dochodziły nas wieści — byliśmy uważani przez pracujących w okolicy rodaków za ludzi na zawsze straconych dla społeczeństwa, wykołojonych, na pewno obłąkanych.

Nie przeżywalimy okropności obozów koncentracyjnych. Przeciwnie, byliśmy — dzięki regularnym inspekcjom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża — nieomal bezpieczni! Tylko, że to — co takim beznadziejnym pejzażem rysowało się na zewnątrz — usiłowało wtargnąć i do naszych myśli. Nie przeżywalimy grozy cierpień fizycznych. Przeżywalimy tylko ciągłą walkę wewnętrzną o to, aby nie oszaleć w pustce, aby nie poddać się bezwładnie niespokojnym myślom, aby nie utracić kontaktu z rzeczywistością, która oddalała się od nas coraz bardziej.

Oreżem w tej walce było to, co zawsze najpewniej wiąże człowieka z jego ludzkim światem: życie organizacyjne, współdziałanie, praca zespołowa.

I o tym chcę tutaj pisać. Nie o szykanach, łamaniu Konwencji i metodach postępowania wojskowych władz niemieckich. Są to już rzeczy z opowiadań znane. Chcę zwrócić uwagę raczej na to, co w myślach i działaniu ludzi, żyjących przez lata w zupełnym odosobnieniu, płynęło jednak nurtem tak dziwnie równoległym do wielkiego nurtu dziejów, którym płynął świat.

Poza propagandową prasą niemiecką — rozporządzaliśmy wprawdzie pewnymi wiadomościami,

choć były one skąpe i fragmentaryczne. Mielśmy bowiem zakonspirowany, prymitywnej konstrukcji odbiornik radiowy, a z Genewy nadchodziły — poprzez ręce cenzury niemieckiej — niektóre bieżące wydawnictwa naukowe. Ale to nigdy by chyba nie wyrównało braku bezpośredniego stykania się z prawdziwym życiem, gdyby drogi myśli ludzkiej, drogi rozwoju społecznego, były czymś znajduwanym przypadkowo, czymś sztucznym. Są one naturalne. I dlatego — zarysowując się w pewien określony sposób w społeczeństwie, wśród ludzi żyjących naprawdę — niemal równie wyraźnie rysowały się w środowisku odciętych od świata jeńców, którzy nie przestali być tego społeczeństwa „częścią”.

Formy, przyniesione ze świata przeobrażały się tu, przeinaczały, ale treści pozostały te same, tak samo jak wszędzie nabrzmiały współczesnością.

Współczesnością — wraz z całym jej balastem konfliktów. Bo gdy tajnie uformowało się w obozie życie polityczne, to uformowało się od razu jako ostra walka dwóch światopoglądów, dwóch postaw społecznych, dwóch mentalności. I nic tu nie mogły poradzić liczne wezwania starszych rangą, regulaminowe wezwania do apolityczności — wśród tej ciasno stłoczonej grupy wojskowej, w której znaczną większość stanowili rezerwiści, a więc ludzie, powołani na front z najróżnorodniejszych zawodów i od rozmaitych warstwatów pracy. Kraj padł pod obuchem napaści, zaważyło się wszystko — i dobre i złe, a przed nami, jak i przed każdym Polakiem, stanęła wizja przyszłej reorganizacji politycznej Polski, odbudowy gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Bo w klęskę Niemców wierzone od pierwszego dnia ich zwycięstwa.

Jednak w początkowym okresie, przez pierwsze dwa lata nawet, atmosfera polityczna wśród tego tłumu dojrzałych mężczyzn była raczej przykra i trudna. Wprawdzie ludzie sanacji — pod obuchem złorzeczeń za klęskę wrześniową — przycichli, ale wysunęli się za to działacze i pseudo-działacze z ugrupowań skrajnie nacjonalistycznych i szerzyli swą znaną propagandę, gdzie się tylko dało, starając się jednocześnie — aż do śmieszności — obsadzać wszystkie „funkcje” swoimi ludźmi, od kierowania biblioteką i funduszem zapomóg dla wdów i sierot w kraju aż do dozoru w kuchni obozowej.

Kiedy po niedługim czasie doszło wreszcie do tego, że panowie ci, coraz bardziej pewni siebie, zaczęli publicznie wytykać palcami znanych z przed wojny działaczy lewicowych, co wprost już narażało na niebezpieczeństwa ze strony Niemców, lewica w obozie zabrała się energicznie do organizowania kontrakcji.

W czasie rozmów na ten temat — zrazu jedynie w najściślejszym gronie — ustalono pewne konkretne cele. A nie było to w tych warunkach łatwe dla

ludzi dojrzałych, którzy dalecy byli od jakiegokolwiek „zabawy” w politykę. Bo przecież polityka realnie nie istnieje bez konkretnego przedmiotu, bez zadań ściśle praktycznych i bez dążności do rezultatów trwałych. A jakież trwałe rezultaty w kształtowaniu rzeczywistości można by uzyskiwać w obozie jeńców, tak czy inaczej ograniczonym w czasie, w tych więziennych i nienormalnych warunkach, w tym środowisku stworzonym przypadkowo i sztucznie, tymczasowym i nietrwałym?

Z drugiej jednak strony — w tym zbiorowisku „inteligentkim” należało pokazywać drogowskazy współczesności, należało choćby pojęciowo zbliżyć ludzi do spraw, jakże inaczej wyglądających na prawdę, niż wyglądały w panoszącej się propagandzie naszych „narodowców” i w propagandzie niemieckiej. Toteż cele zostały dostosowane do tych właśnie powinności i sprowadzały się do trzech zadań głównych: zaznajamiania ogółu z jak najszerzszymi zagadnieniami z dziedziny społecznej, gospodarczej i kulturalnej ze stanowiska lewicy demokratycznej; stworzenia warunków do wyrobienia się działaczy i organizatorów; wpłynięcia na zmianę atmosfery politycznej w obozie, zatruwanej bezustannie przez propagandę nacjonalistyczną.

Bazą dla działalności w tym kierunku stał się przede wszystkim — zorganizowany już od pierwszych dni silnie — Związek Nauczycielski. Stąd też napłynęli do nowej organizacji pierwsi członkowie i wielu z nich wyróżniało się w działalności politycznej i organizacyjnej aż do końca. Nowa organizacja kryła się przed czujnością Niemców pod szyldem samokształceniowego Koła Zagadnień Zawodowych. Jednak tzw. Polskie Dowództwo (najstarszy rangą oficer polski wraz ze swym sztabem), sprawujące wewnętrzną, porządkową władzę w obozie, zostało poinformowane o politycznym charakterze tej organizacji i — co więcej — z biegiem czasu musiało się coraz poważniej liczyć z jej opinią i stanowiskiem.

Nie od razu Koło Zagadnień Zawodowych utwierdziło dostatecznie mocno swoje stanowisko w obozie. Praca była żmudna i zrazu dość niewdzięczna. Jednak znaczenie Koła w miarę rezultatów tej pracy wzrastało z miesiąca na miesiąc. Praca ta skierowana była zarówno na zewnątrz jak i na wewnątrz organizacji. Wewnątrz toczyły się dyskusje nad referatami, omawiającymi zagadnienia ustrojowe (z punktu widzenia przyszłej odbudowy Państwa Polskiego), zagadnienia polityki gospodarczej, spółdzielczości, szkolnictwa itd. — wszystko to z omówieniem istniejących na świecie wzorów i tendencji. A fachowców z najrozmaitszych dziedzin w środowisku naszym nie brakło. Na zewnątrz — poza często nieodzownymi interwencjami u starszego obozu w sprawach codziennego życia — występowała organizacja z całymi cyklami odczytów publicznych o tematach wyniesionych z referatów i dyskusji wewnętrznych. Odczyty te cieszyły się na ogół ogromnym zainteresowaniem w obozie i zjednywały coraz większą liczbę ludzi dla współczesnej myśli demokratycznej. W każdym razie, będąc w tym środowisku na początku w znikomej mniejszości, zyskała sobie lewica demokratyczna po paru latach działalności uznanie przynajmniej połowy obozu.

Jednocześnie walka ze stroń organizacji nacjonalistycznych przeciwko temu demokratycznemu ugrupowaniu prowadzona była ostro, z użyciem do brze znanych z przed wojny a niezbyt obyczajnych metod. Walka ta najjaskrawiej występowała na tere-

nie instytucji o szczególnym dla życia obozowego znaczeniu, jak teatr, biblioteka, instytucje dokształcające (Studium pedagogiczno-społeczne i najrozmaitsze kursy) oraz gazetka codzienna (zawierająca nielegalne wiadomości radiowe). Dla ilustracji przytoczę fakt z terenu teatru, który był u nas instytucją o zupełnie specjalnym znaczeniu społecznym. Otóż kiedy po upływie kadencji dotychczasowego — a przynależącego do grupy endeckiej — przewodniczącego rady, która kierowała wszystkimi imprezami artystycznymi w obozie, wybrano w 1942 roku człowieka z lewicy — ci aktorzy i muzycy, którzy należeli do organizacji nacjonalistycznej, natychmiast porzucili pracę, narażając teatr na zawieszenie widowisk i niezmiernie utrudniając wszelkimi możliwymi intrygami działalność nowego kierownictwa. To kierownictwo jednak przewyciężyło wszystkie trudności.

Ludzie z bylej „sanacji” wyraźnej grupy właściwie nie wytworzyli. Młodzi (przeważnie z dawnych sanacyjnych grup ludowych) przyłączyli się do organizacji demokratycznej. Starsi (przeważnie wyżsi oficerowie-legioniści, chociaż nie wszyscy) prowadzili grę dość obłudną, pozorując „neutralność”, a w rzeczywistości intensywnie spiskując w ukryciu i popierając nacjonalistów.

Grupa demokratyczna, reprezentowana przez Koło Zagadnień Zawodowych, mimo dość jednolitej i solidarnej postawy na zewnątrz, oparta była o szeroki wachlarz poglądów. W warunkach obozowych takie szerokie ramy wydawały się rozwiązaniem najwłaściwszym. Większość stanowili działacze i sympatycy przedwojennego Stronnictwa Ludowego i PPS — ale nie brakło też umiarkowanych „centrowców” o poglądach niedostatecznie skryształizowanych. Nadszedł okres, w którym ta silna w pierwszych latach solidarność postawy i stanowiska — została poważnie zachwiana.

Sytuacja światowa zmuszała do nowych przemyśleń. Rysa zbliżającego się rozłamu zaczęła być coraz wyraźniejsza. Niektóre grupy z najbardziej lewego skrzydła Koła Zagadnień Zawodowych przestały się mieścić w programie przedwojennych stronnictw. Przy czym rysa ta przebiegała w sposób przepoławiający poszczególne stronnictwa demokratyczne.

W organizacji demokratycznej podział ten nie dotyczył zagadnień wewnątrz-ustrojowych przyszłego Państwa. Co do tego nie było zasadniczych konfliktów. Podział zarysował się na tle innej sprawy: stosunku do wschodniego sąsiada Polski i solidarności z polityką zewnętrzną jednego lub drugiego rządu. Solidaryzowania się z „Londynem”, albo „Lublinem”.

W tym okresie stosunki się wyraźnie zaostrzyły. W związku z dylematem „Londyn — Lublin”, ludzie, solidaryzujący się z polityką „Lublina”, powiększali co dnia swymi nazwiskami „czarne listy” w „Dowództwie”. Na tym się jednak skończyło. Nowy podział na dwa odmienne stanowiska polityczne trwał nadal, ale ostatni etap niewoli przyniósł zorganizowanie Ligi Antyfaszystowskiej, którą starszy obozu zmuszony został oficjalnie uznać.

A z zewnątrz, zza drutów, wyglądało to tak: tłum szarozielonych mundurów z roku na rok coraz bardziej pokrytych pyłem, tłum ludzi o twarzach jak gdyby mgłą zasnutych, tłum ludzi przez pięć z górą lat spacerujących. W kółko, w kółko, ciągle po tym samym, wydeptanym obwodzie. Jak gdyby już nic innego nie robili. Jak gdyby już w ogóle nie żyli.

PRZEGLĄD PRASY

Świadectwem odradzającej się literatury polskiej jest wzrost pozycji bibliograficznych prasy literackiej. Obecnie Poznań, po Krakowie i Łodzi, ma już swoje pismo literackie. Dwa numery „Życia Literackiego”, dwutygodnika redagowanego przez Jarosława Iwaszkiewicza, pozwalają na stwierdzenie, że pismo to rozwija się i mimo szeregu usterek jest poważną pozycją w naszym życiu literackim. Inna sprawa, czy należy zgodzić się na szereg założeń ideologicznych tego pisma, czy nie należy z nimi dyskutować. Pismo to, jak orientujemy się z dotąd wydanych dwu numerów, jest pismem całkowicie eklektycznym, dbającym jedynie o poziom zamieszczanych prac. Takie pismo jest niewątpliwie potrzebne, zwłaszcza na terenie Poznania. W n-rze I znajdujemy artykuł wstępny, inauguracyjny Romana Rońskiego p. t. „Zachód”. Artykuł omawia zagadnienie naszego powrotu na Zachód, wysuwa postulat „pracy od podstaw” w zakresie ogólnej gospodarki narodowej i w zakresie kultury: „Wyrasta więc przed nami kategoryczny nakaz pracy na codzień... Najtrudniejsze zaś zadania czekają twórców i kontynuatorów kultury polskiej. Tutaj trzeba uniejętnie wybrać z przeszłości to co jest wartościowe, oddzielić plewy od ziarna, przyjąć nowe przeobrażenia i nawiązać jednocześnie do zaniedbanego — przynajmniej to otwarcie — strumyka polskiej tradycji demokratycznej”. Interesujący informacyjno-historyczny artykuł prof. Z. Wojciechowskiego o podstawach cywilizacyjnych Polski Zachodniej, artykuły Kostrzewskiego o faszyzmskim „kulturtraegerstwie” w Poznańskim i Tymienieckiego o martyrologii książki polskiej na terenie Poznania w okresie okupacji zamykają dział ściśle poznański, jeśli nie liczyć drobnych notatek. Artykuły o bardziej literackim charakterze pióra Sojeckiego i Suchockiego poświęcone są Żeromskiemu. Kwestionowalibyśmy słuszność tezy prasowego sprawozdawcy „Odrodzenia”, który w „Przebiegu prasy” w n-rze 28 uważa zainteresowanie okazane przez obu autorów dla Żeromskiego za nieaktualne. K. B. wydaje się nie brać pod uwagę, że jeśli się dziś mówi w Poznaniu o Żeromskim, to jest to już bardzo cenne. Jeśli uwagi Suchockiego o „Walgieryzu” nie są słuszne, co zresztą chętnie K. B. przyznajemy, a pogląd Sojeckiego na „Przebieg” naiwny, co również przyznajemy — to można wytknąć tylko redakcji, że ukazała Żeromskiego Poznaniowi w nieprawidłowej ocenie i interpretacji. Natomiast poświęcenie nawet dwóch artykułów Żeromskiemu na terenie poznańskiego pisma, jest raczej pożyteczne, niezależnie od ich oceny. Dział utworów oryginalnych wypełnia opowiadanie Iwaszkiewicza „Stracona noc”, doskonale wiersze Jastruna, Miłosza i Bąka. Prócz tego mamy kolumnę poezji rosyjskiej w dobrych tłumaczeniach. Ogólne wrażenie raczej dodatnie, raz jedyne dział reprodukcji autografów pisarzy polskich p. t. „Pisarze dla Poznania”. Dział ten przypomina przedwojenne pismo „Kino”.

Nr. 2 jest o wiele ciekawszy. Sprawy regionalne ustępują miejsca wstępnemu artykułowi Rońskiego „O postawie pisarza”, fragmentowi essay'u Kotta o twórczości Gide'a. Poza tym w numerze — fragment tłumaczenia „Elektry” Giraudoux, dokonany przez Iwaszkiewicza, opowiadanie Pięta „Rozstanie”, fragment powieści Krzywickiej, wreszcie wiersze Iwaszkiewicza, St. J. Leca, Miłosza. Sprawom zachodnim poświęcone są tylko: reportaż E. Serwańskiego „Na Śląsku” i wiersz J. Żuławskiego „Śląsk”.

Artykuł Rońskiego „O postawie pisarza” uderza w najbardziej unerwione w tej chwili miejsce naszych zagadnień literackich. Omawia bowiem zagadnienie stosunku pisarza do rzeczywistości. Wydaje się nam, że należało by zapoznać się z nim bliżej i wskazać na pewne punkty artykułu, które dadzą niewątpliwie bogaty materiał do interesującej dyskusji. Od razu zaznaczamy zresztą, że nie godzimy się ze stanowiskiem Rońskiego. Roński stwierdza przede wszystkim, że w okresie przedwojennym również usiłowano związać pisarza z rzeczywistością, jak się to usiłuje robić i dzisiaj. Autor przypomina działalność Kadena w jego dodatku literackim do „Gazety Polskiej”. „Pamiętamy z przedwojny nawoływania „Gazety Polskiej” i „Polski Zbrojnej” do związania się pisarza z dniem dzisiejszym”. Dalej autor stwierdza, że obecna rzeczywistość jest zupełnie różna od poprzedniej, natomiast w dalszym ciągu wymaga się od pisarza

„natychmiastowej dziennikarskiej reakcji na zdarzenia i zmiany z dziedziny kulturalnej, społecznej i politycznej”.

Nam wydaje się, że dziś właśnie społeczeństwo ma prawo wymagać od pisarza, który jest, a w każdym razie powinien być, czułym seismografem, notującym skrętnie co się wokół niego dzieje, by wypowiedział się na temat rzeczywistości. Zapewne. Nie zawsze i nie każdy pisarz reaguje natychmiast w obrębie swego ściśle literackiego warsztatu pracy. Dlatego właśnie „zasypuje się go ankietami i oczekuje natychmiastowego wyrażenia zdania o najbardziej delikatnych i skomplikowanych zagadnieniach”. Zresztą praktyka wykazała, że otrzymaliśmy bardzo interesujące artykuły w formie odpowiedzi na pytania ankietowe od szeregu pisarzy, na najrozmaitsze tematy aktualne, że wymienimy tu tylko odpowiedź Iwaszkiewicza w wywiadzie udzielonym Polpressowi, odpowiedź Jastruna na ciekawą ankietę „Głosu Ludu”, odpowiedź Jerzego Zagórskiego na ankietę „Odrodzenia” i t. p. Te odpowiedzi w sposób jasny i interesujący formułowały pozycje pisarzy, którzy nie zawsze może wypowiedzieliby się na te tematy w ramach swojej twórczości literackiej. W dalszym ciągu tego niezmiernie interesującego artykułu Roman Roński wysuwa zagadnienie centralne, a więc stosunek pisarza do rzeczywistości, powołując się przy tym na Francuzów i operując nazwiskami Malraux i Gide'a, jako przedstawicieli przeciwnych, jeśli można się tak wyrazić, „stosunków do rzeczywistości”. Oddając sprawiedliwość literackiej wielkości Malraux, Roński polemizuje z tymi, którzy by chcieli naśladować Malraux — człowieka czynu.

Uznawszy, że postawa życiowa Gide'a jest dla nas nie do przyjęcia, Roński delikatnie daje nam do zrozumienia, że nadmierna aktywność, bezpośrednie włączenie się w polityczne życie Francji André Malraux również nie jest idealnym rozwiązaniem stosunku pisarza do rzeczywistości. Roński proponuje złoty środek — postawę Giraudoux, autora „Wojny trojańskiej” i „Elektry”. Rońskiego irytuje „halaśliwość rewolucjonizmu Malraux” i twierdzi, że rewolucjonizm (?) Giraudoux jest mniej jaskrawy. Zgodzilibyśmy się na to chętnie, gdyby Giraudoux był istotnie pisarzem rewolucyjnym w tym sensie, jakim jest nim niewątpliwie André Malraux. To bowiem, że „Giraudoux o wiele głębiej od Malraux przeżywa rzeczywistość” zwłaszcza kiedy odnajduje w głębi wieków, w mgłach historii i literatury wiecznie ludzkie prawa walki, postępu, zniszczenia, to świadczy tylko o humanistycznej niewątpliwie postawie Giraudoux, ale czy mówi nam cokolwiek o tym jak ocenia Giraudoux tę rzeczywistość? Obawiamy się raczej, że świadomość Giraudoux wiecznych ludzkich praw walki, zniszczenia i postępu świadczy raczej o sceptycznym, spektatorskim stosunku pisarza do rzeczywistości w ramach humanizmu nawet. Wreszcie Roński mówi o umiarze Giraudoux. Giraudoux będąc przez długi okres wojny francuskim ministrem informacji wychyla się nieco nawet z ram, zakreślonych mu przez Rońskiego. Giraudoux zamęczony przez Niemców i Malraux, dowódca francuskiej partyzantki — to charakterystyczne przykłady. Dalej: nie wiemy, jaka byłaby postawa Giraudoux wobec nowej francuskiej rzeczywistości. Obserwujemy natomiast zarówno w kraju jak i za granicą, że po straszliwej nauce, jaką dał faszyzm narodom, a zwłaszcza reprezentantom kultury tych narodów, intelektualistów, coraz częściej porzucają fikcyjny umiar, nie istniejący w gruncie rzeczy obiektywizm, słowem cały ten sztuczny świat outsiderowskiej postawy wobec zdarzeń, którego okna wychodzą na ciasne podwórko idealistycznej filozofii.

Przykład Picassa i Eluarda są dla nas bardzo znamienne. Nie kwestionując ani wartości dzieła Giraudoux, ani szlachetności jego postawy wobec rzeczywistości, musimy stwierdzić, że w proponowanym przez Rońskiego przeciwstawieniu Giraudoux — Malraux, dokonaliśmy wyboru na rzecz Malraux. Nie znaczy to, byśmy nie witali radośnie każdego klerka, który dopuści się zdrady, choćby nawet w pierwszym okresie nie został owym „generałem, który niepotrzebnie chce walczyć w pierwszym szeregu, gdzie i bez niego dosyć jest żołnierzy”.

KRONIKA KRAKOWSKA

Bujny sezon kulturalno - rozrywkowy Krakowa przyniósł mieszkańcom miasta w ciągu ostatnich tygodni pewne ożywienie na odcinku teatru, będącym w maju raczej martwą pozycją. Premiery dwu współczesnych sztuk polskich *Penelopy* Morstina oraz *Dnia jego powrotu* Nałkowskiej dały pole do porównania na nowo wysiłków dwu krakowskich teatrów: im. Słowackiego oraz Starego Teatru, mieszczącego studio artystyczne pod kierunkiem Jerzego Ronarda - Bujańskiego i prof. Andrzeja Proaszkę. Kontrastowy charakter tych dwu scen uznać by można poniekąd za typowy; jedna z nich — to piękny gmach, tradycja, starzy aktorzy, rutyna, drugi — to walka z szablonem, świeżość inwencji, dążność do oparcia się nie o pojedyncze gry aktorów, ale o zgrany wysiłek całości zespołu, słowem to, co opozycja teatralna w stosunku do rutyny sceny „oficjalnej” reprezentować powinna. Ta typowość przeciwstawieństw nie przeszkodziła Teatrowi im. Słowackiego prześcignąć Starego Teatru i dać tym razem nową sztukę, podczas gdy Studio wystąpiło ze wznowieniem.

Penelopa jest sztuką kulturalną i interesującą, ale wyłącznie rozrywkową. Należy do rzędu tych, które, mimo że napisane podczas wojny, mogłyby równie dobrze powstać w każdym innym czasie. Na kanwie klasycznego tematu Morstin nie snuje żadnej pasjonującej nas dziś problematyki, boć za taką trudno uważać lekko potraktowany problem wierności i zdrady małżeńskiej, mimo iż jest to sprawa aktualna w okresie powrotu wielu Odyssów do swych Penelop. Morstin jedynie bawi nas, ale bawi zrezygnie i ładnie.

Bardziej zbliżona przez swą grozę do zagadnień czasu — wydaje się być problematyka sztuki Nałkowskiej, mimo to że pochodzi z przedwojennego okresu i choć jest rzeczą zrozumiałą, że napór historii zmienił to i owo w perspektywie, z jakiej dziś patrzymy na zbrodnię zabójstwa, którego genezą jest rozminięcie się bohatera z prawem i nakazami moralności w okresie wojennego rozprężenia. Przedstawienie w Starym Teatrze było sukcesem zarówno reżyserii Ronarda Bujańskiego, jak gry całego zespołu z Malniczówną i Warneckim na czele. W wystawieniu *Penelopy* na uwagę zasługuje kreacja roli głównej przez świetną aktorkę krakowską, H. Jaroszewską.

Jednym z najciekawszych widowisk Krakowa w ostatnim miesiącu stał się występ teatru *Groteska* pod kierownictwem artystycznym Wł. Jaremy. Eksperyment tego teatru polega na próbie połączenia gry żywego aktora z grą marionetek. Próba ta, uskuteczniiona w pięknym przedstawieniu *Cyrk Tarabumba* (teksty pióra Wł. Lecha, ilustracja muzyczna A. Klucznika), powiodła się znakomicie; z pojedynczych epizodów, połączonych wspólną ekspresją i hmem muzycznym, reżyser stworzył całość pełną poezji i uroku. Teatr *Groteska* występując z apelem do pracowników pióra, zwłaszcza młodych, aby próbowali swych sił w nowym kunszcie, jakim jest sztuka pisanie dla lalek: „nowe koncepcje inscenizacyjne, nowe pomysły —

rozbijają się o brak ludzi pióra, którzy by umieli je dramatyzować” — czytamy w programie widowiska. Najbliższą premierą *Groteski* po *Cyрку Tarabumba* będzie opera buffa *La Serva padrona* Pergolesego.

Innym odbiegającym od szablonu zjawiskiem teatralnym czy też na wpół teatralnym Krakowa jest t. zw. Teatr Rapsodyczny, placówka o dużym znaczeniu pedagogicznym; repertuar jej dostosowany jest w pierwszym rzędzie do potrzeb szkół. Teatr Rapsodyczny pod kierunkiem M. Kotlarczyka daje udratyzowaną recytację najznakomitszych utworów klasyków naszej literatury; na pierwszy program złożyły się fragmenty *Grażyny*, *Konrada Wallenroda* i *Zawiszy Czarnego*; drugi zawiera wyjątki z *Pana Tadeusza*. Teatr ten powstał w okresie okupacji; z chwilą wyzwolenia zespół wyszedł z podziemi i funkcję społeczną, którą spełniał konspiracyjnie, wykonywa dziś jawnie.

Kraków jest dziś chyba najbardziej teatralnym miastem w Polsce. Jak grzyby po deszczu wyrastają zespoły i zespołiki, grupy i grupki, szkoły i studia dramatyczne; są teatry „pomysłane” i „trenujące”, teatry in spe o szeroko zakrojonych założeniach i śmiałych programach, są efemerydy np. jednorazowe przedstawienie (niezbyt udane zresztą) obrazu scenicznego Tytusa Czyżewskiego *Śmierć Fauna*, połączone z recytacją utworów zmarłego niedawno malarza i poety, dokonane przez zespół Teatru Plastyków (dawny *Cricot*) oraz uczniów lektury wymowy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Charakter teatralny mają w Krakowie nawet koncerty poważniejszej muzyki; kilka ich odbyło się ostatnio na malowniczym dziedzińcu biblioteki jagiellońskiej. Wszystko to wynika zapewne stąd, że sam Kraków jest wciąż po dawnemu bardzo „teatralny” i przywodzi na pamięć trafne słowa Boya o „murach, co sprzysięgły się tu na zgubę człowieka”. Wydaje się tylko, że w dzisiejszej rzeczywistości można by je śmiało zmodyfikować, twierdząc, że nie na zgubę, lecz na ratunek.

Z koncertów poważnej muzyki w ostatnim czasie wymienić należy występy orkiestry pod dyrekcją K. Wilkomirskiego, obecnego dyrektora konserwatorium łódzkiego oraz kwartetu im. Szymanowskiego (Dubiska, Wilkomirscy, Szaleska) wreszcie recital fortepianowy Jana Ekiera.

W Związku Literatów odbyły się odczyty dyskusyjne Jerzego Putramenta p. t. *Tragedia Polski*, Jana Kotta Conrad jako pisarz i wychowawca oraz siedem wieczorów autorskich poetów i prozaików w ramach *Żywej Książki*.

Pod patronatem Związku odbyła się również zbiorowa publiczna prelekcja na temat obozu w Oświęcimiu, omawiająca życie więźniów w obozie, w świetle zupełnie innym niż dotychczasowe, a mianowicie ukazującym podziemny, patriotyczny nurt tego życia, podziemną organizację więźniów, ich dążenia i wysiłki.

Ryszard Matuszewski.

LITERATURA ZA GRANICĄ

ANGLIA I FRANCJA

Nowa sztuka Priestley'a. Znany dramaturg angielski John B. Priestley napisał nową sztukę kameralną o silnych tendencjach społecznych, która nosi tytuł — „Inspektor przyszłości”. Rzecz dzieje się wiosną 1912 roku, w domu angielskiego przemysłowca.

Książki o teatrze. Teatr angielski przechodzi obecnie wiele zmian. Ludzie teatru i krytyka szukają nowych form, nowych koncepcji scenicznych i idei. Z cyklu teoretycznych rozważań o teatrze ukazały się niedawno dwie książki: Ashley'a Ducks'a: „Zmiana dekoracji” i Mary Kelly: „Wielki teatr”.

Nowa książka Al. Werth'a. U Hamiltona Hamisha w Londynie ukazała się nowa książka Alexandra Werth'a pt. „Leningrad”. Jest to pierwsza książka napisana przez cudzoziemca o cierpieniach i walce radzieckiego miasta w czasie blokady niemieckiej. Werth, doskonały dziennikarz i publicysta angielski, autor wielu książek, m. in. o Francji — „Twilight of France” i „The Last Days of Paris” — odwiedził Leningrad jako korespondent „The Sunday Times” dwa razy: jesienią 1943 roku, kiedy miasto było już zasadniczo wolne od blokady, ale cierpiało jeszcze na skutek ustawicznego bombardowania i w lutym 1944, kiedy rozpoczęła się ofensywa radziecka, która przepędziła wroga od miasta, daleko na zachód. Książkę tę zadedykował Werth robotnikom zakładów im. Kirowa.

Jak postępować z Niemcami? Nakładem „News Chronicle Publications Department” w Londynie ukazała się książka Sir Waltera Laytona pt. „How to Deal with Germany. A Plan for European Peace”. Autor jest znanym w całej Anglii pisarzem politycznym, jednym z poważniejszych przedstawicieli Partii

Liberalnej, długoletnim redaktorem „News Chronicle” i „The Economist”, a więc gazet które urabiały nie tylko opinie angielską, ale i światową. Warto również zaznaczyć, że autor wspomnianej książki był jednym z uczestników Wersalskiej Konferencji Pokojowej, brał udział w Planie Younga i był dyrektorem Finansowej Sekcji w Lidze Narodów. Tym bardziej są niebezpieczne koncepcje Sir Waltera Laytona, którymi usiłuje sugerować czytelnika, upatrując winę Niemiec tylko w garstce hitlerowskich fanatyków. Książka Laytona wywołała w prasie angielskiej i amerykańskiej wiele dyskusji.

Nakładem Oxford University Press ukazała się książka Harlana R. Crippen pt. „Germany a Selfportrait”. Książka ta zawiera wybrane utwory 34 pisarzy niemieckich, a m. in. braci Mannów, L. Feuchtwangera, Brechta, Pliviera, Arnolda Zweiga, Fritza von Unruh, Oskara Marii Grafa i Alfreda Kontorowitza. Przy opracowaniu tej antologii, która ma być obrazem emigracyjnej literatury niemieckiej, przystosowanej dla czytelnika angielskiego, pomogli autorowi znani krytycy niemieccy — Max Schröder i Wieland Herzfelde.

m. p.

Przerwany w czasie wojny kontakt między krajami tak bliskimi jak Anglia i Francja dopiero niedawno został nawiązany na nowo. Świadectwem silnego wzajemnego zainteresowania są najświeższe wydawnictwa obu krajów. W Anglii o współczesnej literaturze francuskiej piszą: *Philippe Tauby*, autor powieści *Barykady* a zarazem jeden z czołowych, młodych krytyków literackich i *Stephen Spender*, młody pisarz lewicowy.

We Francji czasopismo literackie *Fontaine* wydało specjalny numer poświęcony literaturze angielskiej od roku 1918 do roku 1940. Zeszyt obejmuje 250 str. i omawia krytykę, powieści i poezję. Szkice o poszczególnych pisarzach, pióra najlepszych współczesnych krytyków angielskich, poprzedził wstępem Francuz *Max Paul Fouche*. Poezję T. S. *Elliota* omawia profesor filologii klasycznej w Oxfordzie C. M. *Bowler*, który w czasie wojny wybił się jako krytyk; c. znany powieściopisarza amerykańskim *Michaie Foster* pisze jeden z najwybitniejszych w Anglii znawców literatury *William Plover*.

Omawiając angielski numer *Fontaine*, Philip Touby akcentuje brak szkół literackich czy choćby nawet szerszych, wspólnych nurtów ideowych, które by łączyły współczesnych angielskich pisarzy. Świadczy to, jego zdaniem, o załamaniu dążeń społecznych, co odzwierciedla się w gorzkiej i samotniczej postawie niektórych pisarzy. Na przykład u wielkiego poety *Osberta Sitwella* („List do mego syna”) nienawiść do wojny przeradza się w niechęć do wszelkiej polityki i afirmację czystej sztuki jako wartości najwyższej. We Francji przedstawicielem wybujałego indywidualizmu jest poeta *Henri Michaux*, którego twórczości wiele uwagi poświęcają zarówno Touby jak i Spender.

Nagrodę Goncourtów za rok 1944 przyznano powieściopisarce *Elzie Triolet* za zbiór nowel. Laureatka znajduje się pod wpływem twórczości Maksyma Gorkiego. W roku 1938 wydała powieść p. t. *Bonsoir Therèse*. Elza Triolet jest żoną poety francuskiego *Louis Aragona*.

M. K.

NIEMCY NA EMIGRACJI

Niemiecki poeta emigracyjny, *Johannes R. Becher*, przebywający obecnie w Moskwie, wydał zbiór wierszy p. t. „Die Hohe Warte”, które powstały w czasie jego tułaczki. Jego broszurę p. t. „Deutsche Lehre” wydał w Londynie Związek Kulturowy Wolnych Niemiec.

Wystawę pamiątkową obrazów *Maxa Liebermanna*, ongiś prezesa Pruskiej Akademii Malarstwa w Berlinie, którego obrazy Hitler kazał spalić, zorganizowała w Nowym Yorku „Galerie St. Etienne”. Do komitetu organizacyjnego wystawy należeli m. in. T. Mann, prof. A. Einstein, Franz Werfel i Bruno Walter. *André Simon* wydał w meksykańskim „El Libro Libre” bio-

grafię robotniczego przywódcy i działacza związków zawodowych Meksyku — *Vincente Lombardo Toledano*.

Fritz Kortner, znany reżyser i teatrolog niemiecki, napisał sztukę, której akcja rozgrywa się w amerykańskim obozie jeńców.

© *Insach Arminia T. Wegenera* podaje obecnie „Freie Tribune”, że ten tyle już razy uśmiercany niemiecki pisarz znajduje się obecnie we Włoszech. Przez pewien czas był profesorem literatury na uniwersytecie w Padwie, a obecnie żyje w wielkiej nędzy w Neapolu.

Austriacki poeta *Theodor Kramer* wydał w Londynie tom liryków p. t. „Verbannt aus Österreich” (Banita z Austrii). Autor zebrał w nim swe najlepsze utwory, jakie napisał na emigracji.

„Siódmy krzyż” *Anny Segher* został sfilmowany w Ameryce przez wytwórnię Metro - Goldwyn - Mayer. W roli tytułowej wystąpił *Spencer Tracy*, muzykę napisał *Roy Webb*. Film nagrany został również w języku hiszpańskim dla krajów południowej Ameryki.

Henryk Mann napisał ostatnio nową rzecz, która jest jeszcze w manuskrypcie. Nosi on tytuł „Ein Zeitalter wird besichtigt” i składa się z 10 rozdziałów. Jest to właściwie polityczny esej, którego plan napisania powstał jeszcze przed przybyciem *Manna* do Ameryki, a główne partie w drugiej połowie 1944 roku. Treścią esaju jest rozprawa z faszyzmem.

W Londynie, nakładem Komitetu Wolnych Niemiec, ukazał się wybór przemówień radiowych *Tomasza Manna* do narodu niemieckiego p. t. „Deutsche Hörer”. Jego opowiadanie o Mojżeszcu p. t. „Das Gesetz” (Prawo), które swego czasu ukazało się w zbiorze p. t. „10 komendantów”, wydane zostało obecnie w języku angielskim przez *Pacific Press* w Los Angeles.

Nakładem wyd. „Einheit” ukazała się antologia p. t. „Stimmen aus Böhmen” (Głosy z Czech), która jest przeglądem literackiej twórczości niemieckich pisarzy antyfaszystowskich z Czechosłowacji, przebywających na emigracji. W skład komitetu redakcyjnego weszli: dr *Ernst Sommer*, dr *Rudolf Popper* i *Paul Reimann*. Zamieszczone utwory należą do — *Robert* *Bogian*skiego, *Rudolfa Fuchsa*, E. E. *Kische*, *Karola Kneschke*, *Herminii zur Mühlen*, *Nuntiusa*, *Urbana Rödl*, *A. Simona*, *Waltera Vergeinera* i *F. C. Weiskopa*.

Henryka Kleista „Amphitruon” wystawiła londyńska scena emigracyjna „Kleine Bühne”. Inscenizował *Hans Litten*.

Czarna Księga niemieckich zbrodni wydana będzie w Ameryce przez specjalny komitet pod przewodnictwem prof. *Alberta Einsteina* i pisarza żydowskiego *Szaloma Asza*. Książka ta ukaze się również w języku niemieckim.

ODBUDOWA WARSZAWY

Zabezpieczenie Biblioteki Żaluskich. BOS zabezpiecza bibliotekę Żaluskich. Usuwa się gruz, porządkuje teren i zabezpiecza bogaty księgozbiór biblioteki.

Otwarcie parku w Łazienkach. Po ukończeniu robót porządkowych Łazienki zostały częściowo udostępnione dla publiczności. Część parku łącznie z pałacem królewskim będzie izolowana aż do chwili ukończenia remontu.

Odnalezienie marmurów z Zamku. W składzie złomów kamiennych przy ulicy Złotej odnaleziono marmury pochodzące z kominków Zamku Królewskiego, przewieziono je do Muzeum Narodowego.

Odnalezienie ręki z pomnika Księcia Józefa. Wydział Architektury Zabytkowej BOS zabezpieczył fragment pomnika Księcia Józefa — lewą dłoń z ceglami, znaną na terenie składow przy ulicy Chmielnej. Znaleziony fragment został przekazany do Muzeum Narodowego.

Odnalezione zabytki. Przeprowadzone ostatnio z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki na Śląsku Dolnym poszukiwania wywiezionych przez Niemców zbiorów muzealnych dały nadzwyczajne wyniki. Odnaleziono szereg zbiorów polskich, między innymi ponad 500 skrzyń przedmiotów muzealnych z Muzeum Narodowego w Warszawie.

Powrót pomników. Ostatnio przywieziono do Warszawy, znalezione w Niemczech pomnik *Kopernika* oraz figurę *Chrystusa* z kościoła *Św. Krzyża*.

W gmachu Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie mieści się ocalała od zniszczenia część zbiorów Muzeum Wojska Polskiego. Z bogatych przed wojną zbiorów pozostała zaledwie część eksponatów, pewna ilość broni palnej i białej, część zbiorów mundurowych, *helwederskich* i biblioteka muzealna wraz z archiwum. Dużo eksponatów zostało wywiezionych, część zaś uległa zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Wywieziono między innymi broń ręczną i sieczną, sztandary i mundury z okresu do roku 1890, ordery, odznaki, część obrazów itd.

Odbudowa warszawskich świątyni. Warszawa posiadała przed wojną 82 świątynie różnych wyznań, z czego 71 rzymsko-

katolickich. Obecnie stan świątyni jest następujący: 36 jest nieznacznie uszkodzonych, 21 nadaje się do odbudowy i 25 jest zupełnie zburzonych. W odbudowie znajduje się już 8 kościołów, a mianowicie: *Św. Józefa*, *Św. Anny* na *Czerlniakowie*, *Św. Stanisława Kostki*, *Św. Krzyża*, *SS. Wizytek*, *Karmelitów* i *Franciszkanów*.

Remont mostu Poniatowskiego. Prace wstępne nad odbudową mostu zostały już rozpoczęte. Polegają one na razie na rozbiorze jednego przęsła wiaduktu. Około stu robotników pracuje przy usuwaniu gruzów oraz porządkowaniu terenu pod wiaduktem. Demontowane części przęsła są umieszczone na wiadukcie. Po wykonaniu wspierającego łuku żelazobetonowego części te będą uzupełnione i na nowo złożone.

Przy odbudowie Saskiej Kępy znajdzie pracę około 3.000 robotników. Z Bydgoszczy zostaną sprowadzone specjalne baraki dla zakwaterowania w nich pracujących. Baraki te, zaopatrzone w kuchnie, pralnie itp. będą ustawione na okres trwania robót nad *Wisłą*.

Remont dworca Warszawa — Most. Dworzec kolejki dojazdowej linii Warszawa — *Karczew* i Warszawa — *Jabłonna* został poddany całkowitemu remontowi i w najbliższych tygodniach będzie oddany do użytku pasażerów.

Drapacz chmur na Placu Napoleona nie będzie przeszkadzał w wytyczeniu przyszłych arterii miasta, zostanie więc odbudowany w dawnej postaci.

Odbudowa sieci elektrycznej. W elektrowni warszawskiej ukończono największy turbozespół (35.000 kilowat - amperów). *Aleja Niepodległości* na odcinku od ulicy *Rakowieckiej* do ulicy *Narbutta* otrzymała światło.

Na terenie podstacji *Elektrowni Miejskiej* na *Targówku* zostały podjęte prace remontowe.

Na *Pradze* ruszyły pierwsze tramwaje. Uruchomiono linię Nr. 1 na trasie *Bazylika — ulica Wiatraczna* (*Grochód*).

Odbudowa Gazowni Miejskiej szybko postępuje naprzód. Piece zostały już całkowicie przygotowane do produkcji gazu.

Pierwszą z dzielnic Warszawy, która otrzyma gaz, będzie Mokotów, następnymi — Żoliborz i Bielany.

Otwarcie stacji pomp i filtrów. W Warszawie uruchomiono Stację Pomp na Czerniakowie, Warszawskie Filtry na Koszykowej oraz Dział Inspekcji Sieci Wodnej przy ulicy Lipowej.

Naprawa torów kolejki grójeckiej została ukończona i obecnie pociągi kolejki dochodzą przez ulicę Puławską do dawniej istniejącej stacji w mieście.

Przemysł metalowy w Warszawie. Na terenie Warszawy i Pragi pracuje w tej chwili 41 fabryk przemysłu metalowego, przeważnie drobnych. Do najważniejszych należą: PWS — Państwowe Warsztaty Samochodowe, zajmujące się remontem samochodów, PZO — Państwowe Zakłady Optyczne, produkujące przyrządy miernicze itp., „Karabinowa” — wytwarzająca młotki, kielnie itp. narzędzia dla BOS i SPB, „Hartwig” — produkująca maszyny młynskie i skrzynki pocztowe, „Lilpop” i „Avia” remontuje obrabiarki dla SPB i BOS, „Drucianka” — wytwarzająca gwoździe, druty i sprężyny.

W Warszawie odbyło się otwarcie Zakładów Graficznych Spółdzielni Wydawniczej „Książka”. Zakłady posiadają trzy maszyny rotacyjne, z czego jedna nowoczesnego typu. Na razie czynne są dwa linotypy, w najbliższym czasie ma być uruchomionych jeszcze pięć.

Klinika dziecięca przy ulicy Litewskiej została otwarta. Na razie uruchomiono oddział zakaźny.

Warszawa objęła opiekę nad Elblągiem i Olsztynem, gdzie ma się osiedlać nadmiar ludności stolicy. W celu zorganizowania akcji przesiedleńczej powstało w Warszawie dwadzieścia punktów zapisu na wyjazd.

Teatry warszawskie. Teatr w Warszawie lewobrzeżnej wystawia „Moralność Pani Dulskiej” Zapolskiej oraz „Burmistrza Stylmondu” Maeterlincka. Teatr objazdowy H. Starskiej gra „Sprawę Moniki” — sztukę M. Morozowicz - Szczepkowskiej. Teatr na Pradze wystawia sztukę pod tytułem „Sekretarka Pana Prezesa”.

Nowy teatr. W Warszawie powstała pierwsza w Polsce Spółdzielnia Pracy Artystów Dramatycznych, członków Zawodowego Związku Artystów Scen Polskich.

Spółdzielnia uruchamia teatr dramatyczny w sali przy ulicy Marszałkowskiej 8 pod nazwą „Teatr Nowej Warszawy”. Kierownikiem literackim teatru jest Jarosław Iwaszkiewicz, kierownikiem artystycznym Janusz Strachocki.

Teatr Polski po przeprowadzeniu remontu budynku rozpocznie swą działalność od jesieni.

Teatr prowizoryczny, zbudowany z drzewa, ma powstać w dzielnicy Mokotowskiej. Będzie on przeznaczony przede wszystkim dla robotników i pracowników, zatrudnionych przy odbudowie Warszawy. Teatr liczyć będzie 1500 miejsc, z czego 1000 będzie przeznaczonych dla robotników. Teatr mieścić będzie poza tym dwie sale, przeznaczone na próby, wystawy, zebrania itp. Przy teatrze powstanie Szkoła Dramatyczna. Obok teatru będzie wybudowana kolonia mieszkaniowa dla personelu teatru.

Nowe kino w Warszawie. Wydział kinofikacji na terenie lewobrzeżnej Warszawy uruchamia dwa kinoteatry: kino „Świat” przy ulicy Suzina na Żoliborzu i kino „Atlantic” przy ulicy Chmielnej.

OŚWIATA I KULTURA

„Głos Nauczycielski” organ centralny Związku Nauczycielstwa Polskiego wznowił swą działalność, rozpoczynając 24 rok swego istnienia. Pierwszy numer „Głosu” poświęca na wstępie kilka słów pamięci członków działaczy Związku, którzy zgineli w czasie okupacji, podając jednocześnie listę 54 ofiar z prezesem ZNP Zygmuntem Nowickim na czele. Dalej znajdujemy w numerze: odczyt Zarządu Głównego ZNP przedstawiający nowe zadania nauczyciela - związkowca i omówienie działalności ZNP w czasie okupacji, sprawozdanie z pogrzebu prezesa Związku Zygmunta Nowickiego, postulaty ZNP w sprawach szkolnych, zawodowych i gospodarczych, artykuł na temat „Szkoła i nauczyciel w KRN”, omówienie sytuacji na frontach reformy szkolnej, bogatą kronikę i dział dotyczący spraw organizacyjnych.

Zaszeregowanie nauczycieli do nowych grup uposażenia. Wprowadzone zmiany przewidują między innymi dla wychowawczyń przedszkoli uposażenie od grupy XI do VII, dla nauczycieli publicznych szkół powszechnych — od grupy X do V, dla nauczycieli państwowych szkół średnich od VIII do V; dla kwalifikowanych instruktorów w szkołach zawodowych — od IX do VI; dla niekwalifikowanych nauczycieli niższych szkół zawodowych — od X do IX; dla niekwalifikowanych nauczycieli niższych szkół zawodowych od X do IX; dla niekwalifikowanych nauczycieli średnich szkół zawodowych — od IX do VIII; dla nauczycieli szkół wyższych niekwalifikowanych — od VII do V. Zaszeregowanie nauczycieli do nowych

grup uposażenia, przewidzianych w rozporządzeniu następuje z ważnością od 1 stycznia 1945 r.

Dekret o utworzeniu nowych wyższych uczelni. Dekretem Rady Ministrów z dnia 25 maja 1945 r. utworzono Politechnikę Śląską, Uniwersytet Łódzki i Politechnikę Łódzką oraz przekształcono Politechnikę Gdańską w Polską Państwową Szkołę Akademicką.

Dekret o utworzeniu Politechniki Śląskiej przewiduje, że Politechnika Śląska z siedzibą w Katowicach dzielić się będzie na cztery wydziały: 1) mechaniczny, 2) elektryczny, 3) hutniczy, 4) inżynieryjno-budowlany.

Uniwersytet Łódzki dzieli się na trzy wydziały: 1) humanistyczny, 2) matematyczno-przyrodniczy, 3) prawno-ekonomiczny. Politechnika Łódzka dzieli się na 3 wydziały: 1) mechaniczny, 2) elektryczny, 3) chemiczny oraz oddział włókienniczy.

Politechnika Gdańska dzieli się na cztery wydziały: 1) inżynierii lądowej, 2) mechaniczno-elektryczny, 3) budowy okrętów i 4) chemiczny. Politechnika Gdańska będzie w najbliższym czasie oficjalnie przejęta przez władze polskie i od początku roku akademickiego 1945/46 — t. j. w jesieni b. r. zostanie otwarta dla młodzieży akademickiej.

W Łodzi czynny jest jedyny w Polsce Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski zorganizowany przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego.

Kurs jest przeznaczony dla czynnych i wykwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych.

KONKURS

Komisja repertuarowa przy Instytucie Naukowo-Społecznym w Radomiu ogłasza konkurs na sztuki teatralne dla amatorskich Teatrów Ludowych. Łączna suma nagród wynosi 10.000 zł. (dziesięć tysięcy złotych). Nagrodzone zostaną wszystkie sztuki nadające się do wystawienia.

Warunki konkursu:

1. Sztuka sceniczna musi ujmować w sposób artystyczny jedno z zagadnień współczesnej wsi polskiej np. zag. reformy rolnej, przebudowy społecznej, gospodarczego i kulturalnego podniesienia kraju, odbudowy zniszczeń wojennych, opanowania ziem zachodnich, stosunku wsi do miasta, stosunku chłopca do innych warstw społecznych, spółdzielczości, szkół rolniczych i uniwersytetów ludowych, aktywnego udziału społeczeństwa w życiu społeczno-politycznym, stosunku chłopca do ziemi, stosunku do pracy, do warsztatu, do towarzyszy, wykorzystywania wolnego czasu, małżeństwa t. j. warunków jakim powinni odpowiadać współtowarzysze życia, stosunku rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, twórczości kulturalnej chłopca i inne.

2. Jeden autor może nadesłać dowolną ilość sztuk.

3. Prawo do wzięcia udziału w konkursie ma każdy. Szczególnie jednak pożądanym jest udział młodzieży wiejskiej.

4. Sztuki muszą być napisane czytelnie. Długość sztuk dowolna.

5. Sztuka musi być podpisana dowolnie obranym godłem.

Do sztuki należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą wewnątrz imię, nazwisko, rok urodzenia, zawód i dokładny adres. Na kopercie należy podać to samo godło, którym jest podpisana sztuka.

6. Po wypłacie nagrody Komisja Repertuarowa staje się na przeciąg jednego roku t. j. do 1 sierpnia 1946 r. właścicielem sztuki, t. zn. ma prawo ją powielić, dokonać skrótów i poprawek, oraz oddaje ją zespołom amatorskim do wystawienia na terenie wszystkich powiatów województwa kieleckiego. Na terenie pozostałych województw autor zachowuje prawo autorskie.

7. Prace należy składać w Instytucie Naukowo-Społecznym w Radomiu, Żeromskiego 35 do dn. 1.VIII br.

8. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi najpóźniej 1.IX br.

DO CZYTELNIKÓW.

Czytelnicy, którzy chcą otrzymać pocztą pierwsze trzy numery „Kuźnicy”, proszeni są o przesłanie przekazem pocztowym zł. 24, pod adresem: Administracja „Kuźnicy”, „Czytelnik”, Łódź, Piotrkowska 86. Stała prenumerata wprowadzona zostanie dopiero na IV kwartał bieżącego roku.

6-

Redaguje Komitet:

Zofia Nałkowska, A. B. Dobrowolski, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Adolf Rudnicki, Stefan Żółkiewski. Wydawca: Zespół Kuźnicy. Okładkę projektował Eryk Lipiński. Redakcja: Bandurskiego 8. Administracja: Piotrkowska 96 „Czytelnik”.